CZYTANIA
PRZYJEMNE.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

CZYTANIA
PRZYJEMNE.

PISMO DODATKOWE

DO

Muzeum Domowego.

PRZEZ

F. S. DMOCHOWSKIEGO.

TOM 1.



WARSZAWA,

W KSIĘGARNI F. S. DMOCHOWSKIEGO

PRZY ULICY SENATORSKIÉJ Nº 497.

W DRUKARNI MAXYMILIANA CHMIELEWSKIEGO.

1838.

Czytania Przyjemne

CHAMILLART.

POWIEŚĆ Z WIEKU LUDWIKA XIV.

W r. 1679, dwóch niebogatych szlachty z Normandyi weszło do piątego wydziału Parlamentu paryzkiego, zajmując to miejsce w spadku po ojcach, którzy umarli jednego tygodnia. Ci młodzi ludzie, obrali sobie zawód sądowy: czuli bowiem, że nie posiadają dość zgrabnéj i wytwornéj postaci, do-

syć dowcipu, aby mogli świetnieć u dworu. Jeden nazywał się Dreux, drugi Chamillart. Ścisła przyjaźń łączyła ich od dzieciństwa. Słodycz, łagodność i prawość ich charakterów, wróżyła, że będą szanownemi i nieskazitelnemi sędziami. Los sprzyjający ich położeniu i dozgonnéj przyjaźni, otworzył im ten sam zawód i te same koleje; ożenili się i zaślubili w jednymże czasie z osobami mającemi jednakowy posag, gdyż obie były ubogie; obydwa znaleźli w pożyciu małżeńskiém jednakie szczęście, to jest, że ich żony były doskonałemi gospodyniami. Jednakże losy tych dwóch przyjaciół wkrótce miały się rozłączyć; dla jednego z nich otworzył się niezmierzony zawód. Dziwacznym trafem, którego przewidzieć niepodobna, nazwisko jednego zapisane zostało na wieczno-trwałych tablicach historyi.

Dreux otrzymał od natury prawdziwie sądową powagę; wszedł pewnego

dnia do gabinetu swego przyjaciela z twarzą tak zmieszaną, iż Chamillart zapytał się, czyli go nie spotkało jakie nieszczęście. Pani Dreux uczuła pierwsze bóle porodzenia; mąż zostawił ją w ręku doktorów. Po trzech godzinach dręczącéj niepewności, Dreux dowiedział się nareście, że jego żona szczęśliwie powiła syna. Dwaj przyjaciele pobiegli razem do łoża choréj, i zaledwie powitał ją Chamillart, gdy przestraszona służąca oznajmiła mu, że jego żona cierpi takież same bóle. Pani Chamillart wydała na świat córkę, a wieczorem w tym dniu pamiętnym, gdy młode matki zasnęły, a dzieci spoczywały przy piersiach mamek, dwaj przyjaciele siedząc przy kominku, marzyli o losach swego potomstwa i układali rozmaite zamiary.

—»Mój syn, rzekł Dreux z powagą, obierze podobnie jak ja, zawód sądowniczy, nie zaś wojskowy.

—»Któż to przewidzi mój przyjacielu? chłopak może mieć będzie umysł

przedsiębierczy, a jeźli mu się nie podoba sądownictwo, wnijdzie do wojska.

—»O! niechby mi tylko nie był posłusznym, zarazbym go wprawił w kluby karności. Lecz wda się w matkę, która jest tak łagodna jak baranek.

—»Bynajmniéj, będzie to szatan i niemało ci zrządzi kłopotu. Moja to córka, przeciwnie, będzie powolną i rozsądną. Pójdzie za radzcę parlamentu.

—»Nie jest to rzecz pewna. Maleńka może zakochać się w jakim nic dobrego.

—»Ba! nie wyjdzie z domu, a ja nie wpuszczę żadnego trzpiota.

—»Przecież musi wyjśdź do kościoła, a wówczas idąc przez ulicę...

—»Powtarzam ci iż się niczego nie lękam. Pani Chamillart potrafi wychować córkę. Wydam ją za słusznego prawnika.

—»Dalibóg! to dobrze, mój syn będzie twoim zięciem.

—»Nie odmawiam, jeźli się dobrze będzie sprawował.

—»Jego wychowaniem sam się zajmę. Przyjmij moją propozycyą.

—»Jednę tylko upatruję przeszkodę. Twoja żona ma bogatych krewnych na prowincyi, może z czasem odziedziczyć znaczny majątek; a nie ścierpię, ażeby dla próżnéj obietnicy, opuściła znamienite ożenienie.

—»Chociażbym był bogaty jak Krezus, małżeństwo to skojarzy się, przysięgam. Lecz ten majątek o którym wspominasz, jest tylko w nadziei. Proszę cię uroczyście o rękę panny Chamillart.

Dla zagodzenia rzeczy, będę corok z mojéj pensyi odkładał 1,000 liwrów.

—»To dobrze. Gdy maleńka dorośnie, zbierze się dla niéj piękny posag. Czy zgoda?

—»Daj rękę, zgoda. Ma się rozumieć: że gdyby jedno dla drugiego czuło wstręt nieprzełamany...

—»Ma się rozumieć. Muszą się kochać.

—»Będą się kochali, tak się spodziéwam. W jakimże wieku ożenimy ich?

—»Gdy oboje skończą lat dwadzieścia. Zaręczyny będą jutro, razem z chrztem.

Ułożyli się w ten sposób, i gdyby jedno z młodych narzeczonych za złe chciało poczytać to co wymyślili ich rodzice, jak się to pospolicie zdarza, byliby powzięli wielki wstręt do siebie; lecz syn zacnego Dreux nie był złym i krnąbrnym, a dobroć pana Chamillart przeszła w serce jego córki. Doszedłszy do lat młodzieńczych, ta para ciągle się kochała. Wychowani z tą myślą że się wkrótce pobiorą, oddali się bez obawy, uczuciu, któremu sprzyjali ich rodzice. Józef Dreux wszędzie towarzyszył Michalinie Cha-

millart. Prowadził ją do kościoła, na przechadzkę, a ich ojcowie z upodobaniem patrzali, że ich dzieci rosną i rozwijają się jak dwie piękne rośliny. Wszystko szło pomyślnie, aż do roku kiedy kochankowie skończyli lat ośmnaście. — Wówczas to, zapewne dla tego aby ich niewinna czułość nabrała mocy namiętności, los wzniecił pomiędzy niemi tysiące przeszkód. Pani Dreux straciwszy starszego brata, odziedziczyła 12,000 liwrów dochodu. Stary Dreux zaczął żyć wystawniéj, miał dwóch lokajów w liberyi, obszerniejsze pomieszkanie, trzymał lożę i najmował karetę trzy razy na tydzień. Dawał obiady dla współkolegów i zaprzyjaźnił się z niektóremi osobami przy dworze, tak, iż w przeciągu trzech miesięcy przeszedł do wielkiéj izby parlamentu i został prezesem wydziałowym. W każdym innym człowieku, obudziłaby się ambicya, lecz skromny Dreux, pozyskawszy stopień do którego

nawet wzdychać nie śmiał, nie myślał o wywyższeniu. Nie zbywało mu na sposobności uczęszczania do znakomitych domów, lecz nie ubiegał się o ten zaszczyt, poprzestając na dawnéj mierności.

Pewnego dnia, hrabia Jarnac odwiedziwszy go w sprawie przeciw familii Coigni, zwrócił uwagę na Józefa i zapytał się kto jest ten ładny chłopiec. Powinszowawszy ojcu tak przystojnego syna, zapytał się czy nie ma więcéj dzieci i kilkakrotnie powtórzył z namysłem:

—»Jedynak! ładny majątek... pomyślimy o nim.

Potém, postanowiwszy odkryć myśl swoją, dworak rzekł jakby od niechcenia:

—»Mój kochany prezydencie, gdybyś mógł tylko 40,000 liwrów dadź swojemu synowi, wydałbym za niego moją trzecią córkę, która nie ma po-

wołania do klasztoru i wyznaczyłbym jej 20,000 talarów posagu.

—»Panie hrabio, odpowiedział Dreux kłaniając się nizko, należycie oceniam tę propozycyą tak dla mnie zaszczytną; lecz to małżeństwo...

—»Otrzymam pułk dla twojego syna, a tymczasem jest wolne pomieszkanie w moim pałacu.

—»Bardzo żałuję panie hrabio, że odmówieniem odpowiedzieć muszę na takie oznaki dobroci.

—»Co mówisz kochany prezydencie?

—»Wspomniałem że mój syn sposobił się na prawnika i prócz tego...

—»I cóż! porzuci ten zawód. Ja się zajmę jego losem.

—»To rzecz niepodobna. Od urodzenia przeznaczyłem go na sędziego, zaręczony jest z córką mego kolegi i za nic w świecie nie złamałbym mego przyrzeczenia.

—»Fraszka to wszystko. Zastanowisz się nad moją propozycyą.

Przed odjazdem, hrabia lekko trącił po licach Józefa i przydał jeszcze:

—»Przystojny chłopiec. Założę się, że ta różowa twarzyczka podoba się królowi, gdyż nie lubi twarzy chudych i żółtych; zaproszą go do Marly i prędko posunie się u dworu.

Hrabia wykręcił się na piętach i zapytał się czy jest jego kareta.

Józef bladł i płonął się podczas téj rozmowy: korzystne bowiem propozycye hrabiego, mogły były uwieśdź człowieka z charakterem nie tak prawym i stałym jak był Dreux: lecz serce jego biło z radości, gdy usłyszał stanowczą odpowiedź prezydenta. Na nieszczęście, Chamillart obecny był téj rozmowie i po wyjściu hrabiego, ze wzruszeniem przechadzał się w głębi pokoju.

—»Mój kochany przyjacielu: rzekł nareście do prezydenta: należy wiernie dotrzymać przyrzeczeń, o ile to nam nakazuje rozum i honor; lecz zdarzyć się mogą takie okoliczności, w których

to dotrzymanie byłoby tylko fałszywą i nieroztropną delikatnością, a taki jest teraz przypadek. Twój obowiązek jako ojca, nakazuje ci przyjąć ofiarę hrabiego Jarnac. Przez całe życie wyrzucałbym sobie, żem stał się przeszkodą do szczęścia Józefa. Uważaj przeto, proszę cię, że nasza umowa już się rozwiązała.

—»Bardzo tego żałuję, mój kochany przyjacielu, rzecze Dreux; lecz twoje zobowiązanie również jest uroczyste i nie zwalniam cię z twojéj obietnicy. Pomimo że mój syn będzie trochę bogatszy od twojéj córki, nie pozwolę aby z téj przyczyny zerwało się małżeństwo ułożone od lat ośmnastu. I ja także, podobnie jak ty, chcę zasypiać ze spokojném sumieniem, i dla tego musisz pozwolić, bardzo proszę, ażebym działał jako człowiek uczciwy. Jeżeli jeszcze będziesz nalegał, musiałbym mniemać że ty sam masz tajemne po-

wody, dla których pragniesz zerwać twoje przyrzeczenie.

—»Niech tak będzie; sądź co ci się podoba. Nie dbam o to, bylebym tylko był w zgodzie z sobą samym. Przyjmuję ten sposób uważania rzeczy. Ja więc łamię słowo, ponieważ to odpowiada moim zamiarom.

—»Czy bierzesz mię za dziecko z którém nie warto gadać poważnie? Nie uwalniam cię od twojéj przysięgi. Nie, na Boga! więcej obstaję przy niéj niż wprzódy i zobaczymy czyli odważysz się tak niegodnie nie dotrzymać mi słowa.

—»Zobaczysz że tak uczynię. Nie pobiorą się bez mego pozwolenia i zaręczam ci że go wprost odmówię.

—»Wolno ci zrządzić nieszczęście naszych dzieci, bo mój syn nie ożeni się z inną; nieprawdaż Józefie.

Biédny chłopak skinął głową na znak potwierdzenia i otarł łzy spływające mu z oczu.

—»Widzisz, mówił daléj Dreux, jak mocno kocha twoją córkę.

—»Czy mniemasz że moja córka także go nie kocha? Cierpiéć będzie przez czas niejaki, biédna dziewczyna; lecz się pocieszy. U młodzieży zmartwienie nie trwa długo, zapomną o sobie, a potém będą kontenci żeśmy postąpili roztropnie i odważnie.

—»Czyliż tak można iśdź w brew rozumowi, pod pozorem honoru? Ach! nie odmówisz twojego zezwolenia. I ja jestem ojcem; bądź więc przekonany, raz na zawsze, iż wszystkie ofiary hrabiego odrzucę tak stanowczo, że ich więcéj nie ponowi.

—»Jeźli to uczynisz, zawołał rozjątrzony Chamillart, nigdy cię już widzieć nie będę.

—»Jak ci się podoba mój panie. Jestem niezachwiany.

—»I ja nigdy nie ustąpię. Kocham Józefa, ale ponieważ jego ojciec chce sprzeciwiać się zamiarom Opatrzności,

ja przynajmniéj nie będę spólnikiem tego błędu i dla jego dobra zapowiadam mu aby nie odwiedzał mojéj córki.

Chamillart wyszedł rozgniewany, a Józef został, pogrążony w rozpaczy; wiedział bowiem biédny kochanek, że z obu stron równy będzie upor. Podwoił się gniew Chamillarta, gdy się dowiedział że Dreux odrzucił powtórne propozycye hrabiego de Jarnac. Nie widzieli się przez cały tydzień, co nie zdarzyło się od lat wielu. Michelina usychała z tęsknoty. Jéj ojciec zaczął poznawać że próżne są jego usiłowania. Żałował że się tak stanowczo był oświadczył i nie śmiał cofnąć się, chociaż sam powinien był uczynić piérwszy krok do pojednania. Pewnego dnia, postrzegł Michalinę opartą na krawędzi okna i pogrążoną w dumaniu; zbliżył się do niéj i wziął ją za rękę. —»Jestem więc nieznośnym ojcem? rzekł ściskając ją. Patrzcie, nie chce nawet

mię prosić, mnie co jestem gotów dać się przebłagać.

Młoda dziewczyna zadrżała ze wzruszènia i radości.

—»Ho! ho! uspokój się. Gotowa zemdléć dla tego że chcę zadosyć uczynić jéj żądaniu. Nie płacz! Józef dziś przyjdzie. Twoja matka poszła po niego.

Michalina rzuciła się w objęcia ojca, a wieczorem Dreux przyszedł do przyjaciela, z całą swoją rodziną. Kochankowie oddali się marzeniom szczęścia, lecz niestety! trzeba było czekać jeszcze dwa lata.

Okoliczność drobna na pozor, lecz która bardzo ważne skutki pociągnęła za sobą, była powodem powodzenia pana de Chamillart. Stary Dreux postawił billard w swoim salonie. Dalszy ciąg téj powieści okaże, jak bardzo mógł powinszować sobie tego kupna. Częstokroć, złe lub dobre powodzenie zależy od lada fraszki. Ojciec Micha-

liny lubił grywać w karty, lecz od urodzenia córki unikał téj kosztownéj zabawy, a zbierając przyrzeczony posag, nie czynił próżnych wydatków. Obrał więc sobie grę w bilard i wkrótce stał się bardzo mocnym graczem.

U dworu francuzkiego w Wersalu, było przyjętym zwyczajem, że po stole monarcha zasiadał do gry i najznamienitsze osoby zaszczycał przypuszczając je do swojéj partyi. Lecz Ludwik XIV już zachodząc w lata, nie mógł siedzieć natychmiast po obiedzie, bez nabawienia się mocnego bólu głowy. Ażeby nie zmieniać ustanowionego ceremoniału, grę w karty zastąpiono grą w billard, jako połączoną z umiarkowanym ruchem. Za przykładem dworu, gra ta weszła w modę we wszystkich znacznych domach.

Marszałek de Villeroi, wygrawszy ważną sprawę za staraniem prezydenta Dreux i dla tego że sprawiedliwość miał po sobie, uczynił mu ten zaszczyt

iż się do niego zaprosił na wieczerzę. Marszałek grał bardzo mocno we wszystkie gry, i raczył wyzwać pana de Chamillart na partyę billardu, usłyszawszy, iż prezydent wychwala jego zręczność. Jakże się więc zdziwił, gdy prosty radzca parlamentu pobił go bez miłosierdzia. On, co dawał cztéry punkta for delfinowi i pokazywał dowody swojéj zręczności w obec N: Pana, przegrał dwie partye, a wymawiając się że nie jest w dobrym sztosie, tak się tém zmartwił, iż nazajutrz u księcia Kondeusza mówił tylko o zręczności Chamillarta. Książe de Grammont, samochwał i zarozumiały jak większa część Gaskończyków, śmiał się z marszałka i zaręczał że on nie dałby się tak pobić. Villeroi do żywego dotknięty, oświadczył że przywiezie pana Chamillart i założy się za nim o tysiąc talarów, przeciw każdemu kto tylko grać zechce. Przyjęto wyzwanie i posłano karetę po radzcę parlamentu.

Tak więc, ojciec Michaliny wprowadzony został do pałacu księcia Kondeusza i grywał z najznamienitszemi osobami. Książe Kondeusz i książe Vendome doradzali grającym, a Chamillart wykonywał z niesłychaną zręcznością, sztychy przez nich wskazane, nie dla tego ażeby im pochlebiać, lecz tylko przez grzeczność. Książe Grammont przegrał, jednakże jego przeciwnik okazał się tak skromnym, iż go polubili wszyscy. Książe zaprosił go na obiad na dzień następny, ażeby grał ze sławnym Dangeau, najmocniejszym graczem u dworu. Markiz Dangeau przegrał także. Naprózno zbierał wszystkie siły i ufał w szczęście swoje, przegrał. Na domiar niedoli, znamienici świadkowie jego przegranéj, przyklaskiwali tryumfowi jego rywala. Dangeau byłby umarł z żalu, gdyby to się stało w obecności króla. Powrócił do domu z wściekłością w sercu i przysiągł że już nigdy nie narazi się na

zniewagę jakiéj doznał, grając z tym szatanem przyobleczonym w postać radzcy parlamentu. Zaczynał pocieszać się, myśląc o nizkim stanie swego zwycięzcy i pędził do Wersalu, ażeby tryumfować na szlachetniejszéj scenie, lecz nie zastanowił się nad skutkami swojéj przygody. Książe de Vendome przyjechał także do Wersasu. Na pokojach wieczorem, niemiłosiernie żartował sobie z markiza, w przytomności monarchy. Dangeau ledwie nie zemdlał, gdy Ludwik XIV zapytał się czyli urodzenie pana de Chamillart dozwala mu wstępu do Wersalu. Vendome dał korzystne objaśnienia, a król upoważnił go, aby przyprowadził swego klienta, nazajutrz rano, do małych apartamentów. Czytelnicy ocenią ile wycierpiał Dangeau, który tylko przez zręczność w gry rozmaite, pozyskał łaskę monarszą. Chamillart był dla niego niebezpiecznym rywalem. Jakoż w następnym czasie,

mimo skromności, łagodności i otwartości Chamillarta, któremi wszystkich serca pozyskał, jeden tylko Dangeau uważał go jako człowieka powodowanego tajemną dumą.

Michał de Chamillart miał charakter jaki nie łatwo znaleźć można na wielkim świecie, i którен zrządził, iż od razu zyskiwał przychylność ludzi; nigdy nie usiłował zajmować piérwszego miejsca i wyłącznie prowadzić rozmowę; z powodu jego prostoty umieszczano go natychmiast w rzędzie skromnych i nie ambitnych osób. A jednakże, w jego obejściu nie było nic takiego coby nie było godnym człowieka wyższego towarzystwa i dobrego tonu. Byłby nie zniósł niegrzeczności i dla tego usiłował jéj unikać, ażeby nie był zmuszony do opuszczenia dworu. Nigdy w życiu, Chamillart nie powiedział nic dowcipnego, lecz ponieważ nie ubiegał się za dowcipem, nieraz król mile uśmiechnął się na jego odpowiedź.

Za piérwszém przedstawieniem w Wersalu, grać z J. K. M. był to tak świetny początek, iż najznamienitszego rodu osoby nie żądałyby więcéj. — Trzeba także powiedzieć, że niezaprzeczony talent Chamillarta wszystkich zadziwił. Bile ulegały jego rozkazom. Dwa razy zawołał Ludwik XIV:

— »To rzecz cudowna!

Wezwano Chamillarta ażeby przyjeżdżał trzy razy na tydzień, w oznaczonych godzinach. Trafni dostrzegacze postrzegli, że gra w billard co raz jest milszą i nie raz król mówił:

»Szkoda że pan de Chamillart dziś nie przyjedzie.«

Wnoszono ztąd, że wielkie łaski spadną na szczęśliwego gracza. Raz nawet król wyrzekł te wyrazy:

»Mój kochany Chamillart,«

Chamillart, skromny, roztropny, ograniczał się tylko na grze w billard, z czego Ludwik XIV powziął dobre wyobrażenie o jego rozsądku i charakterze

i częstokroć przechadzając się po ogrodzie, poufale z nim rozmawiał. Chamillart przypuszczony był do towarzystwa pani de Maintenon i także pozyskał jej względy. Założyła w Saint Cyr instytut wychowania panien i szukała wiernego zarządzcy. Wybór padł na Chamillarta. Nie było to miejsce zyskowne dla uczciwego człowieka, wiele czasu zabierało, lecz był to pierwszy stopień do przyszłéj wielkości.

Pośród tych ważnych zdarzeń, Józef i Michalina zbliżali się do końca dwudziestego roku życia swego. Już tylko brakowało miesiąca. Posag był gotowy i nie można było przewidywać żadnej przeszkody do ich szczęścia. Już mówiono o wyprawie. Józef przesiadywał cały dzień w domu Chamillarta i z żalem widział że jego narzeczona smutne ma przeczucia: gdyż Michalina radziła się wróżby, skubiąc kwiatki, a los zawsze dawał niepomyślną odpowiedź.

Pan de Chamillart wypełniał w parlamencie obowiązki radzcy referenta, mimo częstego bywania w Wersalu i intendentury domu St. Cyr. Pewnego dnia, zdał rapport o zawiłéj sprawie, któréj dostatecznie nie roztrząsnął. Skutkiem tego zaniedbania, strona niesprawiedliwie przegrała. Tylko co wydano wyrok, niesłusznie osądzony interessant przybiegł do Chamillarta.

—»Panie! rzekł ten człowiek przywiedziony do rozpaczy, nie wspomniałeś w twoim rapporcie, o dokumencie, stanowiącym wygraną moją. Miałem dobrą sprawę, a teraz przywiedziony jestem do żebractwa.

Opuszczony dokument znalazł się na stoliku referenta. Chamillart zawstydzony milczał przez chwilę, nareście bez wahania się, ulegając głosowi sumienia, zawołał, wzdychając:

—»Popełniłem błąd, błąd którego przebaczyć nie można. Powinienem go wynagrodzić. Wiele straciłeś?

—»Dwadzieścia tysięcy liwrów.

—»Dwadzieścia tysięcy! znaczna to summa, lecz mam ją; jestem twoim dłużnikiem, nie waham się ani na chwilę. Oto są 20,000 liwrów, jest to cały mój majątek, weź je.

Interesant uradowany, błogosławi nieskazitelnego sędziego, roni łzy rozrzewnienia i przysięga iż wieczną zachowa wdzięczność, lecz chociaż ze łzami w oczach, zabiera posag Michaliny i wychodzi. Chamillart został przerażony takiém niespodziewaném nieszczęściem; oddał wszystko, lecz ocalił swój honor, i dla tego téż wkrótce odzyskawszy odwagę, z powagą i stałością człowieka bez skazy, przyszedł do pokoju żony. Pan Dreux już tam był z synem swoim, i właśnie w téj chwili ofiarował przyszłéj synowéj ładny i kosztowny podarek. Michalina drżąca z radości, bojaźliwie pieściła swego teścia. Rozdarło się ojcowskie serce. Chamillart okropnego doznał udręcze-

nia, gdy pomyślał jaki cios uderzy jego córkę. Ciężko westchnąwszy, przycisnął ją do siebie i zaczął omawiać zdaleka, jak to zwykle czynimy, chcąc oznajmić smutną wiadomość. Aby tém lepiéj utaić cel swojéj mowy, rzekł z udanym złym humorem:

—»Moja córko, nie lubię téj przesadzonéj czułości, którą okazujesz we wszystkiém. Jesteś udręczona i drżąca, jak gdyby uszliśmy śmierci. Dobrze to jest iż cię wzrusza ofiara naszego przyjaciela; lecz należy zachować takie rozrzewnienie na ważniejszy wypadek. Nieszczęścia często się zdarzają na tym świecie. I w rzeczy saméj, gdyby nas spotkała jaka zła przygoda, nie wiem jak mogłabyś znieść zmartwienie, z tak delikatném zdrowiem i tak miękkiém sercem.

Te ostatnie słowa wyrzekł łagodniéj; postrzegł bowiem iż Michalina nagle zbladła.

—»Ach! rzekła, chcąc ukryć swoje przerażenie; powiedz jak najprędzéj, jakie nieszczęście mię spotkało, a zobaczysz że odważnie je zniosę.

—»Któż mówi o nieszczęściu? Gotowa jesteś nie wiem co przypuszczać sobie do głowy. Straszliwa to rzecz wyobraźnia kobiéty; lecz nie chlub się bardzo moje dziécię twoją odwagą...

—»O mój Boże! cóż mi masz powiedziéć?

—»Istotnie! zawołał Józef, jeśli nam nie przynosisz wiadomości o jakiém nieszczęściu, dziwnym sposobem chcesz zaspokoić twoją córkę.

—»No, rzekł pan Dreux; mój przyjacielu, widzę że się w tém wszystkiém coś złego ukrywa.

Chamillart nie mogąc już dłużéj przewlekać, przypomniał sobie o niewinnym wybiegu użytym przez Annibala, gdy miał uwiadomić senat o klęsce flotty Kartagińczyków. Opowiedział o téj nieszczęsnéj sprawie, o rozpaczy pra-

wującego się, a nareście zapytał się przyjaciela:

—»Cóżbyś zrobił w tém położeniu, gdybyś był przyczyną straty czyjego majątku, i gdybyś miał summę, którą nieszczęśliwy stracił z twojéj przyczyny?

—»Oddałbym mu ją bez namysłu.

—»Dobrze, ja więc jestem tym radzcą niezręcznym, nieuważnym, a stracona summa jest to posag mojéj córki.

—»Mój przyjacielu, postąpiłeś jak przystało na człowieka sprawiedliwego i uczciwego. Winszuję ci; takie to nieszczęścia nikomu snu nie odbiorą. Michalina nie ma już posagu, lecz pozostaje ci tyle iż możesz żyć wygodnie. My zaś tak jesteśmy bogaci, iż możemy zaradzić temu nieszczęściu. Dam dwadzieścia tysięcy więcéj mojemu synowi, i wszystko dobrze pójdzie.

—»To jest, odpowiedział cierpko Chamillart, że zapłacicie za moje głupstwa, i że ja nie siebie zniszczę, ale

was. Byłaby to rzecz pocieszna, gdyby, kto inny sprzedał swoje srebra, dla wynagrodzenia moich błędów, a ja żebym żył w dostatkach i zezwolił na to.

—»Nie idzie tu o przedanie sreber. Summa nie jest tak znaczna.

—»Ani słowa nie chcę słyszéć o tym przedmiocie. Jeźli nie zdołam wynagrodzić téj straty, moja córka tyle mię przynajmniéj kocha, iż nie będzie żądała ażeby ojciec poświęcił swój honor. Odroczymy małżeństwo do lat sześciu, dziesięciu nawet, jeźli tego będzie potrzeba. Cierpiéć będzie, lecz nabierze odwagi, myśląc że podzielam jéj troski.

Michalina zakryła twarz rękoma, widząc jaka przepaść otwiera się przed nią. Dreux zaczął się unosić.

—»Tak więc, pomrukiwał: ten przeklęty człowiek, w imieniu honoru chce pogrążyć w smutku, wszystkich których kocha. Chamillart, przyjdzie czas, że będziesz żałować tego bezrozumnego uporu.

—»Nigdy mości panie! nigdy! sam powiedziałeś przed chwilą, że nie są to nie szczęścia, które nam odbierają sen spokojny.

— »Bezrozumny! przygotujże się, że będziesz spał na grobie córki!« zawołał Dreux biegnąc do Michaliny która zemdlała.

Pośród tak boleśnych udręczeń, Chamillart musiał porzucić córkę i zmartwionych przyjaciół i pojechać do Wersalu gdzie czekano na niego. Musiał ukryć swoją boleść i przybrać twarz spokojną i pogodną. Tego dnia Dangeau grał nadzwyczajnie szczęśliwie. Książe de Lauzun, najbieglejszy gracz u dworu, przegrał do niego 4,000 talarów. Przybycie Chamillarta nie zmieszało markiza.

—»Ach! rzecze król, w sam czas przybywasz. Dangeau ogrywa nas wszystkich, lecz musi oddać swoją wygraną i będziesz należał do połowy mojej stawki.

Ważna partya zaczęła się natychmiast, Chamillart był na jednéj stronie, Dangeau i poseł wenecki na drugiéj. Dość długo szczęście sprzyjało margrabiemu; lecz Chamillart śmiałém i nieprzewidzianém uderzeniem, uwięził nieżyczliwą fortunę i zrobił dwanaście punktów jeden po drugim. Dangeau zażądał odwetu. Zaczęła się druga bitwa jeszcze zawziętsza, lecz z tymże samym skutkiem, ponieważ król zmieszał markiza szydząc z jego małéj pomyłki. Na końcu okazało się, że gdy król odstąpił wygranéj partenerowi swemu; Chamillart posiadał około tysiąca luidorów, to jest dwadzieścia cztéry tysiące liwrów. Uwolniony przez to od trosk domowych, Chamillart przedłużył zabawę monarchy, uczoną rozprawą o grze w billard.

Z wesołym umysłem wsiadł potém do swojej najętéj karety, zacierał ręce, mówił sam do siebie trącając w kieszenie pełne złota, i myślał z roz-

koszą, że szczęście i radość przynosi do swego domu. Przez ten czas, jego rodzina naradzała się jakimby 'sposobem wymódz na nim zezwolenie małżeństwa. Dreux, który się nie był rozgniewał trzy razy przez całe życie, szarpał się jak szalony i czynił dziwne pogróżki. Chciał sprzedać swój dom, spieniężyć sto tysięcy franków i wykraśdź Michalinę ażeby ożenić ją z synem swoim. Józef podniecał gniew ojca i chciał natychmiast pojechać. — Matki roztropniejsze, szukały lepszego środka. Michalina płakała. Wtém przyjechał Chamillart.

—»Nie chcę łez ani smutku, rzecze wchodząc. Zadosyć uczynię waszym żądaniom. Józef może zaślubić moją córkę kiedy mu się podoba. A więc nie sprzeczajmy się, proszę bardzo.

—»Wyznaj przynajmniej, odpowiedział Dreux, że bez potrzeby zepsułeś nam dzień cały.

—»Dobrze; lecz nie chcę ażeby mię łajano skoro ustępuję dobrowolnie i upoważniam was abyście poszli do ślubu kiedy wam się podoba.

—»A więc, nie można dłużéj gniewać się na ciebie.

—»Tak się spodziewam, mój kochany Dreux, lecz jesteście osobliwi ludzie, że nawet nie pytacie się dla czego zmieniłem moje postanowienie. — Bierzcie mię więc za człowieka niestałego, któren bez potrzeby sprzeciwia się i dręczy swoich przyjaciół? Bądźcie jednak przekonani, że nigdy nie wydałbym mojéj córki za bogatego człowieka, gdybym nie miał dla niéj posagu.

—»Czy znowu zaczynasz swoje?

—»Chwila cierpliwości.

Chamillart wysypał na stół stos świetnych luidorów, opowiedział potém, jakim sposobem spotkało go to szczęście.

Nie na tém był koniec powodzeń Chamillarta. Traf zrządził, że ów czło-

wiek któremu Chamillart oddał wszystkie swoje pieniądze jako wynagrodzenie popełnionéj przez siebie omyłki, był krewnym jednéj z osób otaczających panią de Maintenon; opowiedział jéj tak rzadki, tak bezprzykładny dowód prawości; czyn Chamillarta doszedł do ucha pani de Maintenon, ona zaś opowiedziała go królowi. Wówczas, Ludwik XIV uwielbieniem przejęty, zawołał: »Takich to ludzi miałem przy sobie, a nie wiedziałem o tém!«

Gdy podług zwyczaju Chamillart przyjechał do Wersalu na grę w bilard, król przyjął go jak najuprzejmiéj i rzekł do niego:

—»Mój kochany Chamillart, tak częste przejażdżki zabierają ci wiele czasu; będziesz miał mieszkanie w zamku.

Słowa te zdziwiły dwór cały; nikt bowiem nie miał mieszkania w zamku, kto nie posiadał znakomitego urzędu przy królu. Chamillart musi zatém otrzymać jakie ważne miejsce. Gdy za

powrotem do domu Chamillart powtórzył przed swoim przyjacielem słowa monarchy, Dreux zdumiony cofnął się o trzy kroki.

—»Co! zawołał, pomieszkanie w zamku. To nie jest fraszka. Czy wiesz że staniesz w równi z pierwszemi panami królestwa?

W téj chwili, kareta która jechała tuż za powozem Chamillarta, zatrzymała się przed domem. Drzwi otworzyły się z łoskotem i lokaj oznajmił marszałka księcia de Feuillade.

Marszałek, człowiek przyjemny i dowcipny, wszedł z tém wytwornem obejściem się, którém się odznaczał w Wersalu, a które w salonie członka parlamentu, rozlewało nadprzyrodzony blask w koło jego osoby.

—»Otóż jesteś, kochany Chamillart, rzekł książe ukłoniwszy się damom. Za prędko nas opuściłeś mój przyjacielu, lecz winszuję sobie, ponieważ przybywam z miłém zleceniem. Po grze,

N. Pan pracował z ministrem wojny i postanowił że obejmiesz ministerstwo skarbu.

—»Ja mości książe! To musi bydź omyłka!

—»Omyłka! — Najpierwéj wiem o wszystkiém co się dzieje u dworu. Tym razem jest to urzędowa wiadomość; król polecił mi abym ci ją doniósł.

—»Cóż się stało panu de Pont-Chartrain?

—»O! nie troszcz się o niego. Został kanclerzem. Król potrzebował człowieka zaufanego, prawego, z charakterem spokojnym i któryby mógł się mu podobać. Nie mógł więc obrać kogo innego tylko ciebie.

—»W wielkim jestem kłopocie, mości książe. Nie jestem biegły w przedmiótach skarbowych. Odpowiedzialność jest wielka. Nie śmiem przyjąć jéj łaski.

—»Napróżnobyś się wymawiał. Niewolno odrzucać łaski monarszéj. Je-

steś ministrem i będziesz nim mimo woli twojéj; więc umówmy się co masz czynić. Jutro rano będziesz w Wersalu w sali posłuchalnéj, to jest najpóźniéj koło dziesiątéj. Król wysłucha najpilniejszych interesów i powié do ciebie zdaleka: »Panie Chamillart, pójdź ze mną, pogadamy z sobą.« Tak za zwyczaj odbywają się rzeczy. Wnijdziesz do gabinetu królewskiego, a N. Pan uwiadomi cię o reszcie. Będziesz mógł wnijść o każdéj godzinie do króla, jako minister. Dostaniesz 20,000 talarów na urządzenie domu. Przedewszystkiém, weź lokajów dobrze znających służbę, gdyż służący niezgrabni i nietrafni, mogą niezmiernie zaszkodzić ministrom. I cóż ci to jest? stoisz osłupiały. Czyliż nie powinieneś był przewidywać twojego wyniesienia?

Służący Chamillarta przerwał marszałkowi, oznajmiając że obiad już zastawiono.

— »A! tego człowieka nie zatrzymasz, spodziewam się. Ta niezgrabność byłaby nie do wybaczenia po dniu jutrzejszym, dziś zniewala cię tylko do zaproszenia mię na twój mały familijny obiadek.

—»Lękam się mości książe, iż nie będzie godnym ciebie.

—»Na honor, nie wyrzekę się téj przyjemności: jesteś ministrem; miło mi jest że najpiérwszy składam ci moją attencyą. Ta ładna panienka, to zapewne córka twoja?

—»Tak jest, mości książe.

—»Winszuję ci tak pięknéj córki. Tak ładnych oczu brakowało u dworu.

Książe podał rękę pani de Chamillart i poszli do stołu Przy wieczerzy, marszałek prowadził rozmowę. Lubił dobrze jeść i z upodobaniem pił stare wino burgundzkie, które dla niego wydostano z głębi piwnicy.

—»Mój przyjacielu, rzekł przy ostatnim kieliszku, przyjmij dobrą radę,

to jest, korzystaj z twego położenia. Zajmij się zabezpieczeniem twego losu. Jesteś uczciwym człowiekiem, lecz ojcem familii; wydaj córkę za mąż podczas gdy jesteś ministrem, a potém czekaj spokojnie końca. Najpiękniejsze, najkorzystniejsze partye same się trafia. Dalibóg, ja jestem wdowcem od pół roku i gdyby przyzwoitość dozwalała, uczyniłbym natychmiast propozycyą.

—»Mości książe, przedstawiam ci mego zięcia, pana Józefa Dreux. W ciągu dwóch tygodni pobiorą się ci młodzi ludzie. Użem dał słowo.

—»Jeźli dałeś słowo, uważaj żem nic nie mówił. Mam więc powinszować.... Jak się nazywasz młodzieńcze?

—»Józef Dreux, na usługi księcia.

—»A więc, panie Józefie Dreux, nie mażesz skarżyć się na losy. Do ciebie należy starać się aby pan de Chamillart nie żałował że ci oddał rękę córki.

Po wieczerzy, książe pożegnał się z państwem de Chamillart. Stary Dreux

przez cały wieczór nie rzekł był ani słowa, wziął syna za rękę i nagle wyszedł. Przez drogę, Józef słyszał z przestrachem, ucinane wyrazy wyrywające się z ust ojcowskich.

»Ministrem! Chamillart ministrem! Onegdaj zubożony tak iż córki nie chciał wydać za mąż, a jutro mieszkać będzie w Wersalu i rządzić Francyą! Można zajśdź w głowę. Prawdę mówił marszałek; Michalina powinna ustalić położenie swego ojca, pięknem zamężciem. Bez tego, ze stratą względów monarszych, Chamillart będzie niczym. Rozłączy nas to niespodziewane wywyższenie, ale trzeba kochać przyjaciół dla nas samych, nie dla siebie. — Znam go, będzie się powodował romansową delikatnością i zepsuje swoje interesa, pod pozorem dotrzymania słowa. Teraz ja będę niewzruszony jak skała. Opatrzność zniszczyła nasze zamiary; poddajmy się jéj woli.

Czytelnik domyśli się zapewne, iż tego wieczora późno spać poszli tak w domu pana Dreux jak u Chamillarta, i wcale nie spali. Rano Dreux wszedł do pokoju syna; Józef zabierał się do wyjścia.

—»Gdzie idziesz? rzekł do niego surowym tonem.

—»Idę na sądy.

—»Idziesz do panny de Chamillart; zmyślasz, a to kłamstwo dowodzi, iż poznajesz twoje obowiązki. Nie spodziewaj się że je przełamiesz. Jeźli mój syn jest tak nikczemnym, albo tak bezwstydnym spekulantem, że już rachuje ile pieniędzy zyska na słowie przyjaciela, ja za niego mieć będę uczciwość i odwagę. Posłuchaj mię. Przypuszczam, że człowiek przedał wczoraj dom swój, a dziś rano, nim go oddał nowemu nabywcy, odkrył w piwnicy skarb niezmierny. Przypuszczam, że ten przedający, przez zbytek prawości odstępuje ci domu i bogactw w

nim zawartych, poprzestając na umówionéj cenie; nie byłożby to ohydą, przystać na takie kupno?

—»Ach mój ojcze! dom, skarb, cóż to ma znaczyć? Ja nie chcę majątku pana de Chamillart; niech go zatrzyma, lecz niechaj Michalina będzie moją żoną. Kocham ją i nigdy jéj kochać nie przestanę.

—»Mój synu, mogłeś ją kochać gdy była równą tobie. Teraz lepiéj będzie odstąpić jéj ręki. Nie można układać się z sumieniem, a twoje powinno cię ostrzegać, iż odtąd nie możesz pogodzić go z twoją miłością.

—»Ojcze! zawołał Józef, jestem człowiekiem honoru i godnym ciebie. Jeżeli Michalina, albo jéj ojciec, albo ktokolwiekkądź z jéj familii, okaże choć najlżejsze życzenie aby nasz związek zerwany został, nie będę się wahał, poświęcę moje szczęście, moją spokojność, lecz gdyby Michalina miała umrzéć z żalu, gdyby twój przyjaciel i

pani de Chamillart mieli cierpieć na tém, czyliż nie lepiéj byłoby zapewnić nam spokojność i szczęście, zostawując mię przy życiu? Nie wątp bowiem, iż to rozłączenie śmiercią przypłacę.

—»Dobrym jesteś chłopcem Józefie. Widzę że miéć będziesz siłę i odwagę. Nikt z miłości nie umiera, a zwłaszcza jeźli szlachetnie postąpił. Wówczas i owszem, żyje szczęśliwie i spokojnie.

—»Mój ojcze! mój ojcze! nigdy nie będę sprzeciwiał się twoim rozkazom. Działaj jak uznasz za rzecz konieczną, lecz powtarzam ci, idzie o moje życie. Jeźli stracę Michalinę, stracisz syna.

—»I byłaby to wielka szkoda: rzekł Chamillart, któren wysłuchał całą rozmowę. Zaradzimy temu; uspokój się Józefie. Nie dawno ja przyznałem się do błędu; Dreux dzisiaj przyzna się do swego.

—»Nie spodziewaj się że zachwiejesz moje postanowie nie Chamillarcie. W innćm jestem położeniu; gdybym

został ministrem, zobaczyłbyś jakbym postąpił, ale chociażbyś mi wyrobił ministerstwo, chociażbyś podzielił ze mną zaufanie króla, byłoby to jeszcze szaleństwem z twojéj strony, gdybyś wydał córkę za człowieka nowo-wywyższonego, a tym samym jeszcze nie ugruntowanego na swoim stopniu. Opatrzność powołując cię do nowego i tak wielkiego zawodu, wskazuje ci jaką drogą masz postępować, i rzecz jest oczywista, iż gani nasze niebaczne zamiary. Ona to zrywa nasze związki, szanuję jéj najświętszą wolę i wracam ci twoje słowo.

—»Otóż jest! Teraz na mnie koléj powiedzieć do ciebie: Nieszczęśliwy, chcesz więc zabić twego syna. Ale ja ci tego nie dopuszczę.

—»Józef przyrzekł, będzie mi posłusznym.

—»Nie, nie, on porzuci ciebie jako złego i niesprawiedliwego człowieka. Ja będę jego ojcem; w moim domu

jest jego rodzina, nie w twoim. Rozumiesz mię Józefie, gdy ci się sprzykrzy to okrucieństwo, przyjdziesz do mnie. Jeźli za dni piętnaście, w dniu naznaczonym na twoje wesele już od lat dwudziestu, ten szaleniec odmówi zezwolenia swojego, porzucisz go i przeprowadzisz się do mnie. Do tysiąca szatanów! ożenimy się w brew jego woli, na złość jemu! albo się nie będę nazywał Chamillart.

Ojciec Michaliny wyszedł trzaskając drzwiami i pojechał do Wersalu.

Tam przybywszy, nowy minister wprowadzony do gabinetu monarchy, nie wahał się wyznać szczérze J. K. Mości, że mało zna się na skarbowości; zapewnił, iż się lęka, aby mógł wydołać tak ważnym obowiązkom, i błagał króla, dziękując mu za jego łaski, ażeby na początek dał mu jaki urząd nie tak wzniosły, dla obeznania się z interesami. Nie spodziewał się że ta skromność jeszcze bardziéj utwierdzi króla w jego postanowieniu.

— »Mój przyjacielu, rzekł do niego z uśmiéchem, to co mówisz jest dowodem twojéj roztropności; ja zestarzałem się przy stérze państwa i będę twoim przewodnikiem.

— »Najjaśniejszy panie! byłoby to niewdzięcznością z mojéj strony, gdybym się dłużéj opierał. Przyjmuję ministerstwo i będę śmielszy skoro mi W. K. Mość przyrzeka rad swoich udzielić.

— »Spodziewam się że wszystko pójdzie dobrze. Teraz musisz zająć się urządzeniem twojego domu. Kochają cię; lecz to nie dosyć. Dam ci 100,000 franków na piérwsze koszta. Urządź dom okazale i z wystawnością. Najmij pomieszkanie w mieście, dla twojéj rodziny. Mówią że twoja córka jest ładna; zajmę się jéj postanowieniem.

Chamillart już chciał powiedzieć, że uroczyście przyrzekł rękę Michaliny; lecz gdy król zaczął daléj mówić, zamilknął przez uszanowanie.

Pierwsze to posłuchanie przeciągnęło się dosyć długo, a gdy monarcha wyszedł z gabinetu, ujrzeli go wszyscy dworacy, przyjaźnie opierającego się na ramieniu ministra.

Michalina z żalem opuściła Paryż, dla zajęcia przepysznego pomieszkania w Wersalu. Nim opuściła swój pokoik, poprzysięgła sobie, że pozostanie wierną Józefowi, pośród ponęt nowego bytu swego. Smutna była wsiadając do powozu, lecz konie pędziły tak szybko, a na drodze było tyle rozmaitych widoków, iż zmartwienie rozproszyło się zwolna i ustąpiło miejsca ciekawości. Apartament Michaliny, znajdował się naprzeciw królewskiego zamku, był obszerny i bogato umeblowany. Zręczne szwaczki już czekały na nią dla sporządzenia dworskich ubiorów, krajano najkosztowniejsze materye: gdyż wieczorem były tańce u dworu, a pan Chamillart miał przedstawić swoją rodzinę królowi i pani de Maintenon. Pośród tylu

zatrudnień, czyliż jest czas do płakania? Musiano odłożyć na dzień jutrzejszy troski serca.

W salonach paryzkich, Michalina nieraz znosi musiała ciekawe i natrętne spojrzenia innych kobiét, pragnących wyszukać uchybień w jéj postawie i ubiorze; dla tego téż lękała się prezentacyi u dworu, chociaż była piękną i ładnie ubraną w strój balowy. Zdziwiła się przyjemnie, widząc, że nic nie dotknęło jéj skromności i miłości własnéj. Damy wersalskie znające świat, nie zajmowały się natrętnie, nowo przybyłą osobą, myślały o czém inném, i córka ministra skarbu była mniéj żenowana w towarzystwie piękności najznakomitszego rodu, niżeli w kompaniach niższego stanu. Pani de Maintenon, długi czas z nią rozmawiała tak uprzejmie, iż to wszystkich zdziwiło. Michalina wróciła do domu około północy, mając wyobraźnią napełnioną wypadkami tego wieczora. Raz ostatni

spojrzawszy w zwierciadło wprzódy nim zdjęła suknię balową, postrzegła bukiet na murku od kominka. Józef codziennie przynosił jéj kwiaty w Paryżu; biédny chłopiec przyjechał do Wersalu, dla złożenia podarunku w pokoju swéj narzeczonéj i oddalił się przejęty żalem.

Człowiek jest istotą nałogową i ulega wpływowi miejscowości. Chceszli oderwać go od pewnego zakresu wyobrażeń? wyprowadź go z jego pomieszkania i wywieź daleko pośród obcych twarzy. Michalina już się zastósowała do nowego trybu życia, lecz widząc kwiaty Józefa, przypomniała sobie swój panieński pokoik; ocuciła się jéj miłość, na chwilę roztargniona. Z westchnieniem położyła się i zasnęła wymawiając imie kochanka.

Jeźli obchodzi czytelników los Józefa, może zaczęli obawiać się o jego szczęście. Lecz musimy ich uspokoić. Córka Chamillarta obudziła się z mo-

cném postanowieniem, ażeby wszystko uczynić, co tylko można, dla przyśpieszenia swego zamęźcia z Józefem.

Wymogła na ojcu, aby użył podejścia. Pojechawszy zatém do Paryża, odwiedził swojego przyjaciela i udał przed nim że już nie jest ministrem i za dwa dni powróci do swego dawnego pomieszkania. Ludzie prawi, nie nawykli do zmyślania, prędko się zmieszają i zatną; toż samo przytrafiło się Chamillartowi w rozmowie z prezydentem. Dreux powziął podejrzenie, zasięgnął wiadomości i przekonał się, że Chamillart chciał go podejść. List pełen wyrzutów był nagrodą tego podstępu.

Te wyrzuty niezmiernie zawstydziły prawego Chamillarta. Michalina ledwo mogła go uspokoić tą uwagą, że Dreux daleko jest winniejszym, ponieważ chce zerwać związek ułożony od lat dwudziestu.

Dzień ten miał rozstrzygnąć przeznaczenie Michaliny. Gdy Chamillart ukończył przedstawianie interesów, Ludwik XIV zaczął z nim poufale rozmawiać o zamęźciu jego córki. Wówczas minister wyznał, że przyrzekł jéj rękę synowi jednego z prezydentów parlamentu. —»Nigdy nie złamałem słowa mego, przydał, i wolałbym raczéj wszystko poświęcić. Mówiono mi, że związek z możnym domem ustaliłby moje powodzenie, lecz nie dosyćże mi na łasce W. K. Mości? Gdybym ją postradał przez błąd mój, gorzkobym jéj żałował; lecz co się tycze dostatków i bogactw, straciłbym je najobojętniéj.«

—»Są to bardzo piękne uczucia, lecz nie zważasz, że poświęcasz los córki?

—»Najjaśniejszy panie, moja córka kocha młodzieńca z którym jest zaręczona; umarłaby gdyby go straciła. — Przekonałem się o tém, gdyż rozmaite zdarzenia sprzeciwiały się temu zamęźciu.

—»Postępowanie twoje tak jest zaszczytne, iż nie chcę dłużej nalegać. Wydaj za mąż twoją córkę, jak za najlepsze uznasz. Czyliż to prędko nastąpi?

—»Niestety! N. Panie, nie wiem tego. Ojciec młodzieńca wbił sobie w głowę, iż nowe położenie moje nakazuje mu ażeby zerwał ten związek; upor jego przywodzi nas do rozpaczy.

—»Mój parlament posiada ludzi z szlachetnym charakterem. Jak się nazywa ten prezydent?

—»Nazywa-się Dreux. Jest szlachcicem i pochodzi z familii sławnéj prawością duszy.

—»A młodzieniec czy ma jakie zalety?

—»Jest to chłopiec uczciwy i pracowity, jak jego ojciec. Będzie dobrym prawnikiem.

—»A więc te biédne dzieci kochają się mocno?

—»Aż do szaleństwa N. Panie.

—»Opowiedz mi historyą ich miłości·

Chamillart opowiedział jak byli zaręczeni od urodzenia, jak wzrośli z tém przekonaniem że będą połączeni. — Wspomniał potém jakie wysilenia czynił, ażeby przezwyciężyć upor swego przyjaciela.

—»Dalibóg! zawołał Ludwik XIV, małżeństwa zrywają się nieraz, lecz nie widziałem jeszcze, ażeby takie przeszkody były przyczyną ich zerwania. Ja was pogodzę.

Nazajutrz kazał przedstawić sobie prezydenta Dreux i jego syna. Ojca uczynił markizem, a Józefa obsypał dobrodziejstwy i zaszczytami. Wola monarchy usunęła wszelkie przeciwności. Józef i Michalina pobrali się w dwudziestym roku swego życia.

Zdarzenie to jest prawdziwe i wyjęte z ówczesnych pamiętników.

INEZ
DE LAS SIERRAS.

POWIEŚĆ

PRZEZ

KAROLA NODIER.

INEZ DE LAS SIERRAS

CZĘŚĆ PIERWSZA.

—»A ty, rzekł Anastazy, nie opowiesz nam historyi o strachach?

—»Mógłbym to uczynić, odpowiedziałem; byłem świadkiem najdziwniejszego zjawienia, o jakiém kiedykolwiek wspomniano: a jednakże nie jest to powieść, lecz prawdziwe zdarzenie.

Eudoxya przysunęła swoje krzesło do mojego i zacząłem:

Było to w ostatnich dniach r. 1812. Jako kapitan dragonów, stałem załogą w Gironie. Mój pułkownik wysłał mię do Barcelony, gdzie zaraz po świętach Bożego Narodzenia odbywa się wielki jarmark na konie, sławny w całej Ka-

talonii. Miałem zakupić konie do remonty; przydano mi do téj czynności dwóch poruczników z tego samego pułku. Jeden z nich nazywał się Sergy (czytaj Seržy), drugi Boutraix, z obudwoma żyłem w ścisłéj przyjaźni. Pozwolicie że cokolwiek obszerniéj wspomnę o jednym i o drugim, ponieważ wiadomość o ich charakterach przyda się do naszéj powieści.

Sergy był jednym z młodych oficerów, którzy przyszli do nas prosto ze szkół. Miał szlachetną postawę i obejście się, żywy dowcip i doświadczoną odwagę. Celował w każdém ćwiczeniu, posiadał gust i uczucie każdéj sztuki pięknéj, a jego organizacya delikatna i draźliwa, czyniła go niezmiernie tkliwym na powab muzyki. Śpiew kobiety wprawiał go w zachwycenie aż do szału dochodzące. Nieraz lękałem się o jego rozum. Łatwo poznacie, że Sergy musiał bydź niezmiernie przystępny wrażeniom miłości i nigdy pra-

wie nie był wolnym od téj gwałtownéj namiętności, od któréj zdaje się, iż zależy życie człowieka; lecz exaltacya jego uczuć ochraniała go od ich zgubnego skutku. Jego namiętna dusza, potrzebowała duszy tak namiętnéj jak ona, z którąby mogła się złączyć w jedno, a chociaż zdawało mu się, że ją wszędzie napotyka, nigdzie jéj dotąd nie znalazł. Ztąd wynikało, że wczorajsze bożyszcze, ogołocone z uroku, było nazajutrz pospolitą kobiétą, i że najbardziéj namiętny z kochanków, był także najniestalszym. Zawiedziony w nadziejach, spadając z wysokości marzeń swoich, w upokarzające przekonanie rzeczywistości, mawiał, że nieznany przedmiot jego życzeń i nadziei nie mieszka na ziemi; lecz szukał go znowu i znowu mylił się po raz setny. — Powodem jego ostatniéj pomyłki, była dosyć mierna tancerka, należąca do towarzystwa aktorów, które nie dawno opuściło Gironę. Przez dwa dni, wirtu-

ozka zajmowała najwznioślejsze szczyty Olimpu. Dwa dni wystarczyło do zniżenia jéj do rzędu najpospolitszych kobiét. Sergy już o niéj nie pamiętał.

Przy takiéj draźliwości organów, Sergy musiał miéć wielką skłonność do cudowności. W jéj krainach najchętniéj błądziły jego myśli; spirytualista przez rozumowanie i przez wychowanie, był nim jeszcze bardziéj przez wyobrażenia i uczucie. Jego wiara w urojoną kochankę, którą dla niego przeznaczył świat duchów, nie była przeto prostą igraszką wyobraźni, lecz ulubionym przedmiotem jego marzeń, tajemnym romansem jego myśli, pewnym rodzajem wdzięcznéj i pocieszającéj zagadki, która mu wynagradzała bez-użyteczne próby. Zamiast powstawać na te urojenia, gdy przypadkiem zwróciliśmy na nie rozmowę, używałem ich nieraz do zwalczenia jego miłośnéj rozpaczy, ponawiającéj się co miesiąc. W ogólności, jest to nie małą pomocą

do szczęścia, schronić się w idealne życie, gdy już wiemy co rzeczywiste jest warte.

Boutraix (czytaj *Butre*), tworzył z Sergym najdoskonalszą sprzeczność. Był to duży i tłusty chłopak, pełen, podobnie jak i jego kolega; honoru, męztwa i poświęcenia się; lecz twarz jego była bardzo pospolita, umysł zaś zgadzał się z twarzą: znał tylko ze słyszenia, miłość moralną, tę miłość umysłu i serca, która zakłóca lub upięknia życie i uważał ją za wynalazek pisarzy romansów i poetów; twierdził, że nigdzie nie istniała, tylko w książkach. Najmilszą rozrywkę znajdował przy stole; pierwszy do niego zasiadał i ostatni wstawał, chyba że wina brakowało. — Po dowodach odwagi wojennéj, wino jedyną było rzeczą, która w nim wzbudzała jakibądź zapał. Mówił o niém z pewnym rodzajem uniesienia i pił wiele, bez pogrążenia się w pijaństwie. Szczególny miał temperament, gdyż

nigdy nie wpadał w ten stan zbliżający człowieka do zwierząt; lecz przyznać potrzeba, iż w samą porę zasypiał.

Umysłowe życie ograniczało się u niego na bardzo małéj liczbie wyobrażeń, z których utworzył sobie niezmienne zasady. To tylko uznawał za prawdę, co tylko mógł pojąć zmysłami swemi, reszta była dlań przesądem, niedorzecznością. Gdy go chciano przekonywać, rozpierał się w krześle i zaczynał gwizdać. Chociaż nigdy dwóch stronnic od razu nie przeczytał, zdało mu się, że przeczytał Woltera, a nawet Pirona, którego za *filozofa* uważał; ci dwaj autorowie byli dla niego wyrocznią. Przy tém wszystkiém, Boutraix był dobrym kamratem i najlepiéj znał się na koniach ze wszystkich officerów naszéj armii.

Umyśliwszy kupić konie i dla nas także, postanowiliśmy pojechać do Barcelony wózkiem furmańskim, których

jest pełno w Gironie. O mało że nas nie zawiodła ta rachuba. Uroczystość świąt Bożego Narodzenia i jarmark, ściągnęły z całéj Katalonii niezliczone mnóstwo podróżnych. O jedynastéj rano, jeszcze szukaliśmy furmana i już jeden tylko był w mieście, gdyśmy go spotkali zabierającego się do wyjazdu.

—»Przekleństwo niech spadnie na ciebie i na twoje muły! zawołał Boutraix przejęty gniewem, siadając na kobylicy: niech wszystkie szatany opadną cię na drodze! Co? nie pojedziemy?

Furman przeżegnał się i cofnął o dwa kroki.

—»Niech Bóg ma was w swojéj świętéj opiece, mości Estewan: rzekłem; czy macie podróżnych?

—»Nie mogę powiedziéć ściśle, że mam podróżnych: odpowiedział furman: ponieważ mam tylko jednego, pana Baskara, reżysera i *gracioso* komedyi jadącego do Barcelony, a który pozostał w tyle, dla doglądania rzeczy,

to jest tego kufra wypchanego sukniami i gałgankami, a któryby nawet nie zaciężył na jednego osła.

— »Tym lepiéj mości Estewan. W twoim wozie są cztéry miejsca, a pan Baskara chętnie pozwoli ażebyśmy zapłacili trzy czwarte kosztów, które będzie mógł w całości policzyć dyrektorowi. Dochowamy tajemnicy. Proszę cię, zapytaj się czy pozwoli abyśmy mu towarzyszyli.

Baskara wahał się o tyle tylko, ile było potrzeba aby jego pozwolenie przybrało oznakę grzeczności. W południe wyjechaliśmy z Girony.

Poranek tak był piękny, ile tylko żądać można w téj porze roku, lecz zaledwie wyjechaliśmy za obręb miasta, białe chmurki unoszące się od rana nad wierzchołkami wzgórzów, rozwinęły się nadzwyczaj szybko i otoczyły nas zewsząd jakoby murem. Wkrótce rozpuściły się w deszcz pomieszany ze śniegiem, niezmiernie drobny, lecz tak gę-

sty, iż zdawało się że cała atmosfera zamieniła się w wodę. Mgła tak była gruba, iż nie można było dojrzéć drogi, a furman iśdź musiał przy mułach, co niezmiernie opóźniało naszą podróż. Najbezpieczniejsze brody wezbrały nagle, a Baskara przejeżdżając przez nie, polecał się opiece świętego Mikołaja, lub świętego Ignacego patrona żeglarzy. —»W istocie, lękam się, rzekł Sergy, czyli nie sprawdzi się przekleństwo, które Boutraix rzucił dziś rano na tego nieszczęśliwego furmana. Wszystkie szatany z piekła wywarły się na naszą drogę, jak tego życzył. Przykro jest, sam przyznasz, cierpiéć skutki jego gniewu.

—»Ba! ba! odpowiedział Boutraix na pół śpiący: bajka, przesąd: i natychmiast zasnął.

Droga była nieco bezpieczniejsza, gdyśmy wyjechali na skalisty brzeg morza, lecz dészcz albo raczéj potop, pośród którego płynęliśmy z taką ciężko-

ścią, nie ustał wcale. Zmniejszył się dopiéro w trzy godziny po zachodzie słońca, i gdy jeszcze było daleko do Barcelony. Przyjechawszy do Mattaro, postanowiliśmy tam zanocować, nie mogąc co lepszego uczynić. Furman poszedł do oberży, lecz wkrótce powrócił ze smutną miną i oznajmił, że dziedziniec tak jest zawalony powozami, iż nie ma dla nas miejsca. Jaka fatalność, rzekł, ściga nas w téj nieszczęsnéj podróży. Nie ma wolnéj stancyi gdzieindziéj, tylko w zamku Dżysmondo.

—»Zobaczmy, rzekłem wysiadając z powozu, czyli będziem musieli nocować pod gołém niebem w jednem z najgościnniejszych miast Hiszpanii; byłaby to smutna koléj po tak przykréj podróży.

—»Panie officerze, odpowiedział jeden z mulników, który oparty o drzwi, palił cygaro; nie sam tylko doznasz téj niedoli, bo już od dwóch godzin zapełnione są wszystkie oberże, a nawet

prywatne domy. Nie ma wolnéj stancyi gdzieindziéj, tylko w zamku Dżysmondo.

—»Od dawna znałem już ten sposób mówienia, właściwy pospólstwu w takiém zdarzeniu, lecz nigdy jeszcze wzmianka o zamku Dżysmondo przykrzéj nie uderzyła mego ucha.

Przedarłem się aż do gospodyni, pośród hałaśliwego natłoku podróżnych furmanów, i dokazałem tego, iż zwrócono na mnie uwagę, uderzywszy w jakiś miedziany sprzęt rękojeścią mojéj szpady.

—»Stajnia, pokój i dobra wieczerza!« zawołałem tym nakazującym tonem, który nam się zwykle udawał; a to wszystko dla służby cesarskiéj.

—»Ach! panie kapitanie, odpowiedziała gospodyni śmiałym tonem. W mojéj oberży nie ma ani kawałeczka miejsca. Jedzenia i wina dostaniecie tyle, ile sami zechcecie, jeźli wam się podoba wieczerzać pod otwartém niebem; lecz

nie potrafię rozszerzyć dla was mojego domu. Dalibóg, nie ma wolnego pomieszkania gdzieindziéj tylko w zamku Dżysmondo.

—»Niech piorun trzaśnie w przysłowia i kraj Sansza Pansy! zawołałem; gdyby przynajmniéj ten zamek znajdował się rzeczywiście, wolałbym nocować tam niż na ulicy.

—»Czy tylko o to idzie? rzekła, wpatrując się we mnie. W rzeczy saméj, przypomiałam sobie; zamek Dżysmondo, leży ztąd tylko o pół milki i o każdéj godzinie są tam wolne pomieszkania. Wprawdzie nikt z tego nie korzysta, lecz wy Francuzi gotowi jesteście nawet czartu nie ustąpić noclegu. Jeźli wam się podoba, naładować każę wasz powóz żywnością i winem, i przepędzicie noc wesoło, jeźli nie odbierzecie jakich nieprzyjemnych odwiedzin.

—»Tak jesteśmy uzbrojeni, iż się nie boimy żadnych: odpowiedziałem. A więc, pani gospodyni, pomyśl o naszych za-

pasach. Żywność dla pięciu, a każdy z nas zje za cztérech; obrok dla mułów i podostatkiem wina, gdyż Boutraix jest z nami.

—»Porucznik Boutraix! zawołała: dajcie dwa koszyki po dwanaście butelek każden i to prawdziwego Rancio.

W dziesięć minut, wnętrze naszego powozu zamieniło się w spiżarnię obszernego domu, i tak było wypełnione, iż niktby się w nim pomieścić nie mógł; lecz flaga uspokoiła się na chwilę i nie wahaliśmy się iśdź pieszo.

—»Dokąd jedziemy, panie kapitanie? rzekł furman zdziwiony tém przygotowaniem.

—»A dokądże pojedziem biédny przyjacielu, jeźli nie do miejsca o którém sam wspomniałeś? Do zamku Dżysmondo.

—»Do zamku Dżysmondo! Wszyscy święci niechaj się zlitują nad nami! Moje muły nie odważą się na tę podróż.

—»A przecież muszą ją odbydź, odpowiedziałem wsuwając mu w rękę kilkanaście sztuk drobnéj monety; dobry obrok wynagrodzi im to utrudzenie, a dla ciebie mamy trzy butelki starego wina Palamos, o których powiesz nam jak ci smakować będą. Nie traćmy tylko czasu, jesteśmy głodni i znowu deszcz padać będzie.

—»Do zamku Dżysmondo! żałośnie powtórzył Baskara. Czy wiecie panowie co to jest zamek Dżysmondo? Nikt tam nię wdarł się bezkarnie, nie zrobiwszy poprzedniéj umowy z szatanem; ja tam nie pójdę za wszystkie skarby świata. Nie, dalibóg nie pójdę.

—»Pójdziesz, ręczę honorem, mój miły Baskaro: odpowiedział Boutraix, obejmując go silnemi rękoma. Czyliż przystoi, ażeby zacny Kastyllańczyk lękał się strachów i baśni pospólstwa? Ruszaj z nami zacny Baskaro; bądź przekonany, że w każdym razie ja będę twoim obrońcą.

To mówiąc, jechaliśmy przykrą drogą pod górę, pośród wzdychań i łkania Baskary. Wyznać muszę, iż także i muły znużone i głodne, ciężkim i jakoby niechętnym krokiem zmierzały do kresu naszéj podróży.

—»Cóż to jest, rzekł Sergy, ten osławiony zamek, który tak mocną trwogę wzbudza w tych prostych ludziach? Może siedlisko upiorów i strachów?

—»Albo złodziejów i rozbójników; rzekłem po cichu, gdyż każdy zabobon pospólstwa opiera się na jakiéj rzeczywistéj podstawie. Lecz jesteśmy należycie uzbrojeni.

—»Któż nie zna zamku Dżysmondo? pomruknął Estewan wzruszonym głosem. Jeźli panowie ciekawi jesteście dowiedzieć się o tém, mogę was zaspokoić, gdyż nieboszczyk mój ojciec, był w tym zamku. Poczciwy to był człowiek; niech mu Bóg wybaczy, że za bardzo lubił wino.

—»Nie ma w tém nic złego, przerwał Boutraix. I cóż widział twój ojciec w zamku Dżysmondo?

—»Opowiedz nam tę historyą: rzekł Sergy, gotów zawsze poświęcić najwykwintniejszą zabawę, dla fantastycznéj powieści.

—»Jak skończę, będziecie mogli panowie zaniechać waszego zamiaru, jeźli wam się tak podoba. — I mówił daléj:

»Ten nieszczęśliwy Dżysmondo, rzekł, nieszczęśliwy w istocie, ponieważ ściągnął na siebie niezbłagany gniéw Boży:— z resztą nie życzę mu nic złego: Dżysmondo, był w dwudziestym piątym roku swego życia, głową znakomitéj familii Las Sierras, tak sławnéj w naszych dziejach. Jest temu już lat trzysta, albo prawie tyle, lecz data znajduje się w kronikach. Był to piękny i mężny rycerz, hojny, uprzejmy, przez długi czas poważany od wszystkich, lecz za bardzo skłonny do złych towarzystw; nie umiał utrzymać się

w bojaźni Boga, tak dalece, iż zjednał sobie złą sławę przez swoje rozpusty, i strwonił cały majątek. Wówczas to musiał szukać schronienia w zamku, w którym postanowiliście, bardzo nieroztropnie, przepędzić noc dzisiejszą, a który był jedynym szczątkiem jego bogatéj puścizny. Kontent że uniknął ścigania swoich wierzycieli i licznych nieprzyjaciół, umocnił go i osiadł w nim na resztę życia, z giermkiem tak złego życia jak sam, i z młodym paziem u którego zepsucie duszy wyprzedziło lata. Dwór jego składał się z garstki uzbrojonych ludzi, którzy mieli udział w jego nadużyciach i gwałtach, i z tego powodu musieli podzielać dolę pana swojego. Jedna z piérwszych wypraw Dżysmonda, miała na celu wyszukanie towarzyszki, a podobny do ohydnego ptaka, który własne gniazdo kala, zbrodniarz wybrał ofiarę swojéj chuci, pośród własnéj rodziny. Niektórzy powiadają, że Inez de las Sierras,

tak nazywała się jego synowica, zezwoliła na wykradzenie. Któż zdoła odgadnąć tajemnicę serca kobiét?

»Powiedziałem, że to była jedna z piérwszych jego wypraw, gdyż historya przypisuje mu wiele innych. Dochody należące do jego zamku, który już od wieków musiał bydź dotknięty przekleństwem nieba, nie wystarczały na jego wydatki. Uzupełniał je rozbojami na gościńcu. Nazwisko Dżysmonda i jego zamku, stało się groźne w całéj okolicy.

—»Czy tylko to? rzekł Boutraix. Takie nadużycia zdarzały się wszędzie, w owych wiekach ciemnoty i nieładu.

»To co mam jeszcze opowiedziéć, nie jest tak pospolitą rzeczą, mówił furman. Piękna Inez otrzymała pobożne i cnotliwe wychowanie i nagle oświecił ją promień łaski. W chwili gdy godzina północy przypomina wiernym urodzenie Zbawiciela, weszła, wbrew zwyczajowi swemu, do sali biesia-

dnéj, gdzie trzéj złoczyńcy siedząc przy kominie, zalewali winem wyrzuty sumienia. W mocnych słowach wystawiła im ich zbrodnie i wieczne kary które będą ich skutkiem; płakała, zaklinała, klękła przed Dżysmondem, a położywszy białą swoją rękę na tém sercu, które niedawno biło dla niéj, usiłowała ocucić w niém jakiekolwiek uczucie cnoty. Było to, moi panowie przedsięwzięcie wyższe nad jéj siły, a Dżysmondo podniecany od swoich dzikich towarzyszów, odpowiedział jéj uderzeniem sztyletu, którym przeszył jéj łono.

— » Potwora! zawołał Sergy, tak wzruszony, jak gdyby słyszał opowiadanie prawdziwego wypadku.

»Okropne to zdarzenie, mówił daléj Estewan, nie przerwało ich rozpusty. Trzéj biesiadnicy pili i śpiewali przy ciele młodéj dziewczyny i była już trzecia godzina rano, gdy słudzy ostrzeżeni milczeniem panów swoich,

weszli na miejsce biesiady i podnieśli cztery ciała leżące pośród potoków krwi i wina. Bez wzdrygnienia zanieśli trzech pijaków do ich łóżek, a trupa pochowali.

»Lecz kara niobios: mówił dalej Estewan, po dosyć uroczystym przestanku: nie odwlekła się długo. Tylko co sen zaczął rozpraszać wyziewy ćmiące rozum Dżysmonda, ujrzał Inezę powolnym krokiem wchodzącą do jego pokoju; była wybladła, zakrwawiona, odziana długim całunem umarłych, a wyciągnąwszy ku niemu pałającą rękę, położyła ją z ciężkością na jego sercu, które przed kilkoma godzinami nadaremnie ściskała. Skrępowany niezwalczoną mocą, Dżysmondo napróżno usiłował pozbyć się tak straszliwego zjawiska. Ból i wysilenie swoje, mógł tylko wyrazić głuchym przytłumionym jękiem. Niezbłagana ręka została przykuta do miejsca, a serce Dżysmonda płonęło, i płonęło tak aż do wschodu słońca.

Wówczas znikło widmo. Jego spólnicy też same odebrali odwiedziny i tęż samą karę cierpieli.

»Nazajutrz i każdego poranku, przez rok cały, trzéj przeklęci spotykali się, badające spojrzenia rzucając wzajem na siebie,—lecz nie śmieli mówić o śnie, któren ich dręczył. Wspólność niebezpieczeństw i zysków, powoływała ich do nowych zbrodni, noc wzywała ich do nowych rozpust, które przedłużali coraz bardziéj, gdyż sen był dla nich straszliwy; a gdy godzina snu wybiła, karząca ręka paliła ich bez ustanku.

»Nadeszła wreście rocznica 24 Grudnia (dziś to jest moi panowie) i jak zwykle zebrali się na wieczorną biesiadę, gdy godzina odkupienia biła w Mattaro i wzywała Chrześcijan na uroczyste modły, Wtém głos daje się słyszéć w galeryi zamkowéj: JESTEM! zawołała Inez: ona to była. Weszła, zrzuciła całun i usiadła między niemi,

przybrana w najpiękniejsze stroje. Przejęci podziwieniem i strachem, widzieli że jadła chléb i piła wino żyjących, mówią nawet że tańczyła i śpiéwała podług dawniejszego zwyczaju; lecz nagle, jéj płonąca ręka, jak w tajemniczym śnie, dotknęła się serca rycerza, giermka i pazia. Wówczas, wszystko skończyło się dla nich na tym przechodnim świecie, bo przepalone serca zamieniły się w popiół. Już była godzina trzecia, gdy słudzy ostrzeżeni milczeniem panów, weszli podług zwyczaju do sali biesiadnéj. Tym razem wynieśli cztéry martwe ciała. Nazajutrz, nikt się nie obudził.«

Sergy z mocném zajęciem słuchał tego opowiadania, zgadzającego się ze zwyczajnym przedmiotem jego dumań. Boutraix wydawał kiedy niekiedy mocne westchnienie, lecz wyrażające samą tylko niecierpliwość i nudy; aktor Baskara po cichu odmawiał różaniec, ja zaś uwielbiałem te poetyczne ułam-

ki podań gminnych, łączące się z opowiadaniem prostego człowieka i użyczające mu kolorytu, którymby nie pogardziła wyobraźnia oświecona wykształconym gustem.

»Nie dosyć na tém, przydał Estewan: posłuchajcie mię jeszcze przez chwilę, nim przywiedziecie do skutku wasz niebezpieczny zamiar.

»Od śmierci Dżysmonda i jego spólników, obmierzłe jego zamczysko nienawistne wszystkim ludziom, stało się własnością złych duchów. — Droga nawet prowadząca do niego, jest opuszczona, jak to możecie postrzegać. Wiadomo tylko bez żadnéj wątpliwości, że corocznie 24 Grudnia o północy (moi panowie, dzisiaj to; w téj właśnie godzinie) nagle okazuje się światło w oknach starego zamku. Ci, którzy śmieli przeniknąć te straszliwe tajemnice, wiedzą, że wtenczas, rycerz, giermek i paź, powracają z łona śmierci, ażeby zasiąśdź przy krwawéj biesiadzie.

Tę karę ponosić muszą aż do końca wieków. Nieco później, wchodzi Inez okryta całunem, zrzuca go i okazuje się w zwyczajnym stroju; jé, pije, śpiéwa i tańczy z niemi razem. Gdy przez czas niejaki oddają się szałom występnéj radości, wyobrażając sobie że ta radość nigdy ustać nie powinna; młoda dziewczyna pokazuje rozwartą ranę swoją, dotyka ich serc płonącą ręką i wraca do cierpień czyscowych, wtrąciwszy ich znowu w męki piekielne.

—»Wybornie! doskonale! zawołał Boutraix, ciężką pięścią trącając po przyjacielsku furmana; jakeś zaczął opowiadać o biesiadzie, przypomniałem sobie że jestem głodny. Popędzaj więc twoje muły, gdyż gotów jestem wieczerzać z samym nawet szatanem.

—»To samo gadał mój ojciec, na rozpustnéj biesiadzie z żołnierzami. Gdy jeszcze wołano na oberżystę żeby dawał wina. —»Nie ma go nigdzie, chyba w zamku Dżysmondo, odpowiedział.

»Dostanę go więc! zawołał mój ojciec, i pójdę po nie, chociażby mi je sam szatan miał nalewać. —»Nie pojdziesz! nie pójdziesz! —»Pójdę, odpowiedział z gorszém jeszcze przekleństwem i poszedł.

—»I cóż twój ojciec widział tak strasznego w zamku Dżysmondo? rzekł Sergy.

—»To co wam powiadałem zacni panowie. Przeszedłszy długą galeryą bardzo starożytnych obrazów, zatrzymał się w progu sali biesiadnéj, a że drzwi były otwarte, spojrzał dość śmiało. — Potępieńcy siedzieli u stołu, a Inez pokazywała im swoją krwawą ranę. Tańczyła potém, a za każdym krokiem zbliżała się do miejsca gdzie on stał. Uderzyła go jak piorunem ta myśl, że go Inez porwie razem z trzema potępieńcami. Padł jak nieżywy i przyszedł do siebie dopiéro nazajutrz rano, na progu parafialnego kościoła.

—»Gdzie był usnął wczoraj wieczorem, ponieważ wino z nóg go ścięło. Marzenie pijaka, biédny mój Estewanie. Lecz gdzież jest ten przeklęty zamek? czy nigdy nie zajedziem do niego?

—»Już jesteśmy; odpowiedział furman, zatrzymując muły.'

—»To dobrze, rzekł Sergy, burza znowu powstanie i (rzecz dziwna w téj porze roku) słyszałem iż zagrzmiało dwa lub trzy razy.

—»Zawsze słychać grzmot o tym czasie w okolicach zamku Dżysmondo, odpowiedział furman.

Jeszcze nie skończył, gdy mocna błyskawica rozdarła niebo; i przy jéj świetle ujrzeliśmy białe mury starego zamku, z wieżyczkami nagromadzonemi jak gromada widziadeł, wznoszące się na skale. Zdaje się, że główna brama oddawna była zamknięta, lecz górne zawiasy rdzą strawione, wypadły razem z kamieniami w których były osadzo-

ne, a podwoje bramy na pół przegniłe, już już miały wypaśdź. Łatwośmy je wysadzili i uprzątnąwszy gruzy i zielska zawalające drogę, wjechaliśmy w obszerną bramę, któréj sklepienie nie odbijało turkotu kół, już od czasów Ferdynanda katolickiego. Zapaliliśmy pochodnie, w które opatrzyliśmy się w Mattaro, a ich płomień podsycany pędem wiatru oparł się napaści nocnych ptaków, zrywających się ze wszystkich stron i odlatujących z żałośnym krzykiem. Było to w rzeczy saméj nadzwyczajne i złowróżbe widowisko i mimowolnie przypomniało mi wnijście Donkiszota do pieczary Montesinos; uwaga ta byłaby zniewoliła do uśmiechu aktora Baskarę, a nawet i furmana, gdyby mogli byli śmiać się, lecz ich przerażenie wzmagało się za każdym krokiem.

Nareście wyjechaliśmy na główny dziedziniec. Po prawéj stronie ciągnęły się obszerne stajnie, jak to wskazy-

wały pierścienie żelazne wmurowane w równych odległościach do uwiązania koni. Ucieszyliśmy się, widząc że tam wygodnie wypoczną nasze muły, a ta myśl ucieszyła nawet samego Estewana. Dwie pochodnie oświeciły to schronienie; a obrok położony przed mułami, rozweselił zwierzęta umęczone słotą i ciężką podróżą.

—»To dobrze, moi panowie, rzekł Estewan nieco śmielszy; widzę że moje muły mogą tu nocować, a przysłowie powiada: »że mulnikowi wszędzie jest dobrze gdzie mogą pomieścić się jego muły.« Jeźli raczycie zostawić mi nieco żywności, zanocuję przy nich; bo nie tyle boję się szatanów stajennych ile zamkowych. Są to nie złe czarty, ich psoty ograniczają się na tém, że plączą grzywę konia albo ją pod włos czeszą zgrzebłem. Nas zaś biédnych ludzi uszczypną w nogę tak, iż przez cały tydzień pozostanie plama żółta; nabawią nas kurczu w łytkach, albo

też ciężko położą się nam na brzuchu, śmiejąc się jak szaleńcy. Zniosę to wszystko przy pomocy trzech butelek wina, które mi obiecał pan kapitan.

— »Oto są: rzekłem, dopomagając mu do wyładowania powozu: a do tego masz jeszcze dwa chleby i ćwierć pieczonéj baraniny. A teraz umieściwszy jazdę i pociągi, pójdźmy na górę, poszukać kwater dla piechoty.

Zapaliliśmy cztéry pochodnie i weszliśmy na wielkie schody, przez zwaliska, któremi były okryte. — Baskara szedł między nami.— Sergy i Boutraix ośmielali go mową i przykładem, a próżność tyle mająca wpływu na Hiszpanie, wzięła górę nad strachem. Wyznaję, że ta wycieczka wolna od niebezpieczeństw, miała jednakże w sobie coś awanturniczego i fantastycznego, pochlebiała mojéj wyobraźni, i przydać mogę, że napotykane trudności, tém bardziéj podniecały mój zapał. Część murów zawaliła się tu i

owdzie i stawiała mnóstwo zapór, które trzeba było okrążyć lub przeskoczyć. Deski, bale i belki, opadłe z posowy, krzyżowały się na połamanych schodach; stare okna w sieni i przysionku już oddawna wypadły, a kawałki szkła trzeszczały nam pod nogami. Burzliwy wicher pomieszany ze śniegiem, wpadał przez nie z okropnym świstem, a zielska rosnące między gruzami, utrudniały przejście i powiększały okropność tego miejsca. Pomyślałem, nic o tém nie mówiąc, że chętniéj i łatwiéj poszedłby żołnierz do szturmu bareryi lub warowni, niż do tego spustoszonego zamczyska. Dostaliśmy się nareście na piérwsze piętro i odetchnęli przez chwilę.

Po lewéj stronie był długi i wązki kurytarz, przed nami zaś wprost, wnijście do głównych apartamentów. Weszliśmy do wielkiéj czworobocznéj sali, gdzie niegdyś musieli zbierać się zbrojni słudzy. Tak przynajmniéj wnieśliśmy z dwóch rzędów popsutych ła-

wek ciągnących się w około i z kilku pospolitych zardzewiałych zbroi, wiszących na ścianach. Przeszliśmy ją natrafiwszy na kilka drzewców od włoczni i na tyleż luf od muszkietów. Sala ta łączyła się z długą galeryą, lecz nie zbyt szeroką, mającą po prawéj stronie powybijane okna. Podłoga tak była przegniła i zniszczona, iż tylko wązkim pasmem ciągnęła się wzdłuż zewnętrznéj ściany i gotowa była załamać się pod nogami. Sprowadziłem moich współtowarzyszów ku lewéj ścianie, gdzie jak się zdawało bezpieczniejsze było przejście. Na ścianie téj wisiały obrazy jeden przy drugim.

—»Dalibóg, to są obrazy! rzekł Boutraix. Czyliż pijak, ojciec naszego furmana, aż tu był przyszedł?

—»O nie, odpowiedział Sergy z gorzkim uśmiechem: on był usnął przed kościołem w Mattaro, ponieważ pijaństwo nie dopuściło mu iśdź daléj.

— »Nie pytam się o twoje zdanie; rzekł Boutraix, wpatrując się w zakurzone obrazy; są to portrety. Cała familia las Sierras jest tu wymalowana.

Takie ślady sztuki z dawnych wieków, w każdéj innéj okoliczności byłyby zwróciły naszą uwagę, lecz śpiesząc się znaleźć jakie wygodne schronienie, nie wiele przypatrywaliśmy się tym wypłowiałym płótnom. Jednakże, gdyśmy doszli do ostatnich portretów, Sergy ze wzruszeniem schwycił mię za rękę.

—»Patrz! patrz! zawołał, ten rycerz z ponurém spojrzeniem, którego czoło zacienia hełm czerwony, to musi bydź sam Dżysmondo. Patrz, jak malarz doskonale wydał w tych rysach młodych jeszcze, znużenie roskoszy i troski zbrodni. Smutny to widok!

—»Następny portret wynagrodzi cię za to: odpowiedziałem z uśmiechem, na to jego przypuszczenie. Jest to portret kobiéty, a gdyby był lepiéj zachowany, albo bliższy naszych oczu, uno-

siłbyś się na widok powabów Inezy de Las Sierras, gdyż możnaby przypuścić także, iż to jest ona. To co możemy dojrzéć, czyni mocne wrażenie. Co za kształtność téj wysmukłej kibici! Co za ponęta w tej postawie! Jak piękna ta ręka i ramię! Taką bydź musiała Inez.

—»I taką była, rzekł Sergy, pociągając mię ku sobie, gdyż z tego punktu spotkałem jéj spojrzenie. Ach! nigdy jeszcze mocniéj nie przemawiał do duszy namiętniejszy wyraz twarzy. Żadne dzieło malarza mocniejszém życiem nie tchnęło! A jeźli zechcesz ścigać okiem jéj rysy, aż do łagodnego obwodu, gdzie policzek zaokrągla się w koło tych pięknych ust, jeźli tak jak ja schwycisz poruszenie tych ust wyrażających nieco pogardy, lecz tchnących całém zachwyceniem miłości!...

—»Powezmę niedokładne wyobrażenie, odpowiedziałem ozięble, jak mo-

gła wyglądać piękna kobiéta u dworu Karola V.

— »U dworu Karola Vgo! rzekł Sergy, spuszczając głowę; to prawda.

—»Zaczekaj, zaczekaj! rzekł Boutraix, gdyż będąc wysokiego wzrostu, mógł dosięgnąć ręką aż do samego obrazu i kilkakrotnie potarł go chustką. — Jest tu jakieś słowo napisane po niemiecku lub po hebrajsku; jeźli nie po syryjsku lub po bretońsku, lecz kto je tam wyczyta; wolałbym sylabizować Alkoran.

Sergy krzyknął z uniesieniem: »*Inez de las Sierras!* Inez de las Sierras! powtórzył, ściskając mię za ręce z pewnym rodzajem szału. Czytaj sam.

—»*Inez de las Sierras!* odpowiedziałem; to prawda, a te trzy gwiazdy na złotém polu musiały bydź herbem jéj famili. Zdaje się że ta nieszczęśliwa żyła istotnie i mieszkała w tym zamku. Ale już czas ażebyśmy poszukali schronienia. Czy pójdziecie daléj?

—»Za mną panowie! za mną! zawołał Boutraix, który mię poprzedził o kilka kroków. W téj oto sali nie będziemy żałować wilgotnych izb Mattara: oto jest pomieszkanie godne jenerała. Pan z Dżysmondo lubił wygody, i nie można przyganić urządzeniu tego apartamentu. Przewyborna kwatera!

Jakoż w rzeczy saméj, ta niezmierna sala była w lepszym stanie niżeli reszta zamku. Z głębi padało światło przez dwa wązkie okna, jeszcze nie uszkodzone. Obicia z wyzłacanéj skóry i starożytne krzesła, miały jakieś znamię wspaniałości, którą jeszcze pomnażała ich starość. Olbrzymi komin zbudowany przy lewéj ścianie, wystarczyłby dla zgromadzenia olbrzymów, a kawały drzewa porozrzucane na schodach, dostarczyłyby nam ognia na sto nocy, podobnych do téj którą mieliśmy przepędzić. Stół okrągły, stojący niedaleko od komina, mimowolnie przypomi-

nał bezbożne biesiady Dżysmonda, i wyznam że patrzałem nań z niejakiém wzruszeniem. Kilkakrotnie musieliśmy schodzić na dół, już to po drzewo, już to po żywność i po insze rzeczy, które mogły były przemoknąć od całodziennéj ulewy. Wszystko zachowało się jak najlepiéj, a nawet kostiumy towarzystwa Baskary, rozłożone przy ogniu na poręczach krzeseł, zajaśniały w moich oczach tym sztucznym blaskiem i tą przestarzałą świeżością, których im użycza zwodny blask kinketów. To prawda, że jadalna sala zamku Dżysmondo, oświecona dziesięcioma pochodniami zatkniętemi w stare kandelabry, daleko była jaśniejsza niżeli jaki teatr w miasteczku Katalonii. Dalszą tylko część, dotykająca do galeryi obrazów, pozostała w ciemności. Rzec było można, iż się tam z umysłu cienie zebrały, ażeby między nami a gminem tajemniczą ustanowić zaporę. Była to widzialna noc poety.

—»Niewątpię, rzekłem zajmując się z memi towarzyszami przygotowaniem do wieczerzy, iż nasza bytność w tym zamku znowu podsyci łatwowierność okolicznych mieszkańców. Jest właśnie ta godzina, o któréj Dżysmondo zasiada co rok do piekielnéj biesiady; a światło bijące z tych okien, zapowiada ucztę szatanów. Może na takiéj saméj okoliczności, zasadza się stara legenda Estewana.

—»Przydajmy do tego, rzekł Boutraix, iż może jakim wesołym awanturnikom zachciało się odegrać tę scenę, i nie jest rzeczą niepodobną do prawdy, iż ojciec naszego furmana istotnie trafił na taką komedyą. Mamy wszystko czego do niéj potrzeba: mówił daléj przerzucając kostiumy podróżującychaktorów. Oto jest ubiór rycerski, właśnie dla kapitana; ja wystawię jak najlepiéj giermka Dżysmonda, a ten wytworny strój, ożywi nieco, omdlałą fizyonomią pięknego Sergy i nada mu

postać zajmującego pazia. Przyznajcie, że to jest pomysł bardzo trafny i wróży nam noc jak najweselszą.

To mówiąc, Boutraix przebrał się od stóp do głowy, a śmiejąc się poszliśmy za jego przykładem. Jednakże zatrzymaliśmy nasze pistolety i szpady, które pominąwszy datę ich wyrobienia, nie były zbyt sprzeczne z naszym ubiorem.

—»A piękna Inez! zawołał Sergy. Zapomnieliście o niéj? Pan Baskara tak przystojny i znamienity artysta, czyliżby nie chciał na ten raz odegrać jej roli; na powszechne żądanie publiczności?

—»Moi panowie, odpowiedział Baskara, chętnie należę do żartów nie dotyczących się zbawienia duszy mojéj, lecz te są w tym rodzaju, iż do nich mieszać się nie mogę. Sami zobaczycie, z własną szkodą, iż nie można bezkarnie szydzić sobie z potęg piekielnych. Bawcie się jak się wam po-

doba, ja was o to tylko proszę, abyście mi pozwolili przepędzić noc w tém krześle i dali mi cokolwiek żywności.

—»Masz, rzekł Boutraix; za tak poważną przemowę, zasłużyłeś na całą gęś i dwie flaszki najlepszego wina. Siądź sobie mój przyjacielu, jedz, pij i spij na krześle.— Oprócz tego: przydał siadając i nalewając szklankę: Inez przychodzi dopiéro przy końcu biesiady i spodziewam się iż przyjdzie.

—Niechaj nas Bóg zachowa od tego, rzekł Baskara.

Usiadłem naprzeciw komina, giermka mając po prawéj, a pazia po lewéj. Spojrzałem w około, i bądź to skutkiem zajęcia, bądź słabości umysłu, ujrzałem iż ta rozrywka ma w sobie coś, poważnego, co mi serce ściskało Sergy był jeszcze bardziéj wzruszony; Boutraix pił.

—»Zkąd pochodzi, rzekł Sergy, iż te uroczyste wyobrażenia, z których usiłuje szydzić niedowiarstwo, nie tracą

nigdy władzy swéj nad ludźmi chociaż z najmocniejszym i najoświeceńszym umysłem. Czyliżby natura czuła tajemną potrzebę wzniesienia się aż do cudowności i odzyskania przywileju który niegdyś posiadała i który stanowił najszlachetniejszą część jéj istoty?

—»Na honor, odpowiedział Boutraix; nie uwierzyłbym w to przypuszczenie, chociażbyś się jaśniejszemi słowami wyraził. Jest to prosty skutek nałogu i wrażeń w dzieciństwie powziętych.

Sergy nalegał. Boutraix obstawał przy zdaniu swojém, powtarzając jak zwykle, ulubione i podług jego zdania niezwalczone wyrazy. Rozmowa nie długo utrzymywała się w wzniosłéj sferze metafizyki, gdyż wino było mocne, a piliśmy szklankę za szklanką. Już była północ, gdy zawołaliśmy wszyscy razem, z unicsieniem radości, jak gdyby uwolnieni od tajemnéj obawy. »Północ już, panowie! północ, a Inez de las Sierras nie przyszła!«

Po tém jednozgodném postrzeżeniu, rozśmieliśmy się wszyscy.

—»Kiedy tak: rzekł Boutraix, wstając na chwiejących się nogach: lubo ta piękność nie przyszła na nasze wesołe zgromadzenie, jednak nie możemy o niéj zapomnieć. Wnoszę zatém ten toast za zdrowie pięknéj Inezy de las Sierras i za jéj rychłe oswobodzenie.

—»Zdrowie Inezy de las Sierras! zawołał Sergy.

Zdrowie Inezy de las Sierras! rzekłem trącając ich szklanki.

»Jestem! zawołał głos pochodzący z galeryi obrazów.

—»Co? rzekł Boutraix siadając. Żart nie zły, lecz kto go zrobił?

Spojrzałem za siebie; Baskara wybladły uchwycił się poręczy mogo krzesła.

—»To ten łotr furman, którego wprowadziło w dobry humor, wino Pałamos.

»Otóż jestem! otóż jestem! powtórzył głos. Zdrowie i wesołość gościom zamku Dżysmondo!

—»Jest to głos kobiéty, i ładnéj kobiéty: rzekł Sergy wstając z szlachetną i wdzięczną powagą.

W téjże chwili, ujrzeliśmy w części sali najmniéj oświeconéj, białe widziadło, lecące ku nam z niesłychaną szybkością, a które zbliżywszy się, zrzuciło swoją osłonę. Przeszło pomiędzy nami, gdyż staliśmy trzymając za broń i usiadło na miejscu Inezy.

—»Otóż jestem! rzekło widziadło z ciężkiém westchnieniem i odgarniając na prawo i na lewo długie czarne włosy, od niechcenia przewiązane wstążką pąsową.

Doskonalsza piękność nigdy jeszcze nie uderzyła naszych oczu.

—»Jest to w rzeczy saméj kobiéta: rzekłem po cichu; a ponieważ zgodziliśmy się na to, że wszystko co się tu dzieje jest rzeczą bardzo naturalną; powinniśmy postępować jak nam nakazuje grzeczność francuzka. Dalszy ciąg wypadków wytłumaczy tę tajemnicę, jeźli tylko będzie można.

Usiedliśmy więc i poczęstowaliśmy nieznajomą. Zdaje się że była zgłodniała. Jadła i piła nic nie mówiąc. Po kilku minutach, zdawało się iż zupełnie zapomniała o nas; wszystkie osoby należące do téj dziwacznéj sceny, były zawarte same w sobie, nieporuszone, milczące, jak gdyby je uderzyła odrętwiająca laseczka czarodziejki. Baskara padł przy nogach moich, i byłbym rozumiał że umarł z przestrachu, gdyby poruszenia rąk jego nie wskazywały iż się modli. Boutraix nié mówił ani słowa; mocny wyraz przerażenia zastąpił jego bachusową śmiałość, a świetny rumieniec pijatyki, który przed chwilą błyszczał na jego śmiałém czole, zamienił się w śmiertelną bladość. Uczucie panujące w Sergym, z nie mniejszą potęgą ogarniało myśl jego; lecz z jego spojrzeń wnieść mogłem, iż było słodsze. Z oczyma wlepionemi w zjawisko, z całym ogniem miłości, wysilał się żeby zatrzymać je, jak

człowiek uśpiony, który lęka się postradać niepodobny do wynagrodzenia urok snu pięknego: i przyznać trzeba, iż warto było urok ten pielęgnować troskliwie, gdyż w całém przyrodzeniu nie było żyjącéj piękności, któraby mu wyrównać mogła. Wierzcie mi, iż nie przesadzam.

Nieznajoma nie miała więcéj jak lat dwadzieścia; lecz namiętności, nieszczęścia, lub śmierć, wycisnęły na jéj rysach tę niewzruszoną doskonałość i wieczną regularność, którą dłóto starożytnych wyryło w posągach bogów. Nic nie pozostało w jéj fizyonomii, z tego, coby należało do ziemi, nic, coby mogło jakiemu bądź ulegać porównaniu.— Takie było zimne zdanie mojego rozumu, już zabezpieczonego wówczas przeciw płochym zachwyceniom miłości, i zdanie to uwalnia mię od obrazu, który utworzycie sobie podług waszéj imaginacyi. Jeżeli zdołacie wystawić sobie przedmiot zbliżający się do rzeczy-

wistości, posuniecie się tysiąc razy daléj nad wszelkie wysilenia mowy, pióra i pędzla. Lecz tylko, i muszę to przydać jako rękojmią bezstronności mojéj, umieśćcie na tém gładkiém i wzniosłém czole, rys ukośny, niezmiernie delikatny, ginący o cal nad powieką, a w tém czarownem spojrzeniu, rozlewającém niewymowne światło z długich błękitnych oczu, wyraźcie, jeźli możecie, jakąś niepewność i wahanie, jakoby niespokojne powątpiewanie usiłujące same siebie odgadnąć. Były to niedoskonałości mego wzoru, a zaręczam że Sergy ich nie postrzegł.

Gdym już mógł zwracać uwagę na szczegóły, najbardziéj uderzył mię ubior naszéj tajemniczéj nieznajoméj. Pewny byłem, żem go niedawno widział i wkrótce przypomniałem sobie, że to było na portrecie Inezy. Zdawało się że był także pożyczany z garderoby teatralnéj, lecz nie tak świeży jak nasze. Jéj suknia z zielonego adamaszku, jeszcze

bogata, lecz pomięta i wypłowiała, przewiązana tu i owdzie, pogniecionemi wstążkami, musiała należéć do stroju kobiéty umarłéj już od wieków i pomyślałem ze drżeniem, iż może za dotknięciem uczułbym w niéj zimną wilgoć grobu; lecz natychmiast oddaliłem od siebie tę myśl, niegodną rozsądnego człowieka i zupełnie odzyskałem władzę nad moim umysłem, gdy nieznajoma nareście przerwała milczenie i czarującym głosem:

—»Cóż to! zacni rycerze, rzekła z uśmiechem wyrzutu, czyliż nieszczęściem przerwałam uciechy tak miłego wieczoru? Gdym przyszła, byliście tak weseli; wasze radosne śmiechy zbudziły wszystkie puszczyki gnieżdżące się w rozwalinach tego zamku. Od jakiegoż to czasu, obecność młodéj kobiety, któréj dwór i stolica przyznały kilka słabych powabów, niszczy wesołość? Czyliż do tego stopnia świat się odmienił od czasu jakem go porzuciła?

—Przebacz nam pani, odpowiedział Sergy, tyle wdzięków musiało nas zadziwić; uwielbienie tak zniewala do milczenia, jak przestrach.

»Wdzięczny mojemu przyjacielowi za tę odpowiedź, rzekłem natychmiast: —»Niepodobna słowami wyrazić tych uczuć które w nas twój widok pani, obudza. Twoje niespodziane przybycie musiało wzniecić w nas podziwienie i chwila upłynęła nim ochłonęliśmy z niego. Wiesz że nic nie mogło zwiastować nam twojéj obecności, pośród tych zwalisk od tak dawna nie zamieszkałych; a to dzikie miejsce, ta późna pora, ten niezwykły nieład żywiołów natury, tém bardziéj nie dopuszczał spodziéwać się ciebie. Chętnie powitają cię wszędzie, pani, gdzie raczysz przybydź; ale czekamy z uszanowaniem, dla oddania ci należnego hołdu, ażebyś raczyła powiedziéć nam, z kim mamy honor mówić.

—»Moje nazwisko? odpowiedziało żywo, czyliż go nie znacie? Świadczę się Bogiem, żem przyszła na wasze wezwanie.

—»Na nasze wezwanie, rzekł Boutraix, jąkając się i zasłaniając twarz rękoma.

W istocie, mówiła z uśmiechem, czyliżby przyzwoitości towarzyskie pozwalały mi postępować inaczéj? jestem Inez de las Sierras.

—»Inez de las Sierras! zawołał Boutraix, bardziéj przerażony, niżeli gdyby piorun obok niego uderzył. O sprawiedliwości przedwieczna!

Wpatrywałem się w tę kobiétę. Daremnie szukałem na jéj obliczu jakiego śladu zmyślenia i kłamstwa.

—»Pani! rzekłem, usiłując okazać się spokojniejszym niżeli byłem w istocie: mimo dziwacznych ubiorów w których nas zastałaś i które może nie przystoją w dniu tak uroczystym, jesteśmy ludzie nieprzystępni obawie. Jakie-

kolwiek jest imie twoje, dla jakiegokolwiek powodu chcesz je ukrywać, możesz bydź pewna, że znajdziesz pośród nas przystojną i pełną uszanowania gościnność; chętnie nawet uznamy cię za Inezę de las Sierras, jeźli ta igraszka dowcipu, stosowna do okoliczności, bawi twoją wyobraźnię, a piękność twoja pani, daje ci prawo udawać ją, z większym blaskiem, niż był ten jaki kiedykolwiek mieć mogła. Jest to najbardziéj niezawodne złudzenie, lecz bądź przekonaną, że to przyznanie nie pochodzi bynajmniéj z łatwowierności naszéj.

—»Nie wymagam takiego wysilenia: odpowiedziała z powagą: lecz któż może mi zaprzeczać mego nazwiska, w własnym domu naddziadów moich? Tak jest: mówiła daléj, zapalając się stopniami: tak drogo opłaciłam pierwszy błąd mój, iż mogę mniemać że już się uspokoił gniew Najwyższego; lecz, oby późne przebaczenie, którego się spodzie-

wam i w którém jedyną pokładam nadzieję, ominęło mię i wydało na wieki dręczącym mię katuszom, jeźli nazwisko Inezy de las Sierras nie jest mojém nazwiskiem. Jestem Inez de las Sierras! występna i nieszczęśliwa Inez. Dla czegożbym przybierała nazwisko, które ukrywać powinnam? Jakiémże prawem nie przyjęlibyście wyznania, i tak już boleśnego, nieszczęśliwéj, któréj los zasługuje na litość.

Uroniła kilka łez, a Sergy zbliżył się do niéj, z coraz to mocniejszém wzruszeniem, gdy tymczasem Boutraix, który od niejakiego czasu trzymał głowę opartą na ręku swoich, ciężko pochylił ją na stół.

—»Patrz, rzekła odejmując od ręki bransoletkę złotą, na pół strawioną długim lat przeciągiem i z pogardą rzucając ją przedemnie. Oto jest ostatni dar matki mojéj, jedyny klejnot z jéj dziedzictwa, pozostały w nędzy i niesławie mego życia. Patrz, czyli jestem

w rzeczy saméj Ines de las Sierras, czyli też nikczemną awanturnicą, przeznaczoną od urodzenia na to, ażeby służyła za rozrywkę gminowi?

Trzy gwiazdy złote, wysadzone były na téj bransoletce drobnemi szmaragdami i wyczytałem nazwisko *Las Sierras* starożytnemi literami wyryte.

Z uszanowaniem wziąłem bransoletkę i oddałem ją z głębokim ukłonem. W stanie exaltacyi do którego doszedł jéj umysł, nie zważała na to.

—»Gdyby wam było potrzeba innych dowodów: mówiła z pewnym rodzajem obłąkania: czyliż wieść o moich nieszczęściach nie doszła do was? Patrzcie: przydała, odpinając suknię i pokazując bliznę na łonie swojém: w to miejsce uderzono mię sztyletem.

—»Biada! biada! zawołał Boutraix, z niewymownem pomięszaniem, padając na poręcz krzesła.

— »Mężczyzni! mężczyzni! rzekła Inez z gorzką pogardą, umieją zabijać kobiety, a lękają się widoku rany.

Uczuciem wstydu nagle przejęta, zsunęła poły sukni i ukryła swoje łono przed obłąkanemi oczyma Boutrego. Sergy wzruszony był do najwyższego stopnia; pojmowałem jego szał i nie mogłem go potępiać.

Znowu nastąpiło milczenie, dłuższe i smutniejsze. Każdy z nas oddany był właściwym sobie wrażeniom; Boutraix, nie rozważnemu przestrachowi, który go czynił nie zdolnym do myślenia; Sergy, wewnętrznym roskoszom rodzącej się miłości, której przedmiot spełniał ulubione jego marzenia; ja zaś rozmyślałem nad temi wzniosłemi tajemnicami, i lękałem się, czylim sobie nie utworzył o nich zawczesnego i zuchwałego zdania. Podobni byliśmy do tych skamieniałych postaci w powieściach wschodnich, które śmierć pochwyciła wśród życia, i których rysy zachowały

na zawsze wyraz chwilowego uczucia w jakiém je zaskoczyła. Fizyonomia Inezy wydawała się bardziéj ożywioną. Lecz byłoby niepodobna oznaczyć, jaka myśl panowała u niéj, gdy z uśmiechem zaczęła mówić daléj.

—»Nie przypominam sobie, o co prosiłam was przed chwilą, ażebyście mi wyjaśnili; lecz wiecie, że myśl moja nie zdoła wystarczyć do prowadzenia rozmowy, od czasu gdy ręka kochanka wtrąciła mię pomiędzy umarłych. Zlitujcie się, proszę was, nad zmartwychwstającym rozumem i przebaczcie mi żem jeszcze nie podziękowała wam za toast, któryście wnieśli na cześć moją, gdym tu weszła. ‚Panowie! przydała, wstając z niewymownym wdziękiem i podnosząc swój kieliszek. Inez de las Sierras, z kolei pije wasze zdrowie. Twoje, zacny rycerzu! oby niebo sprzyjało ci we wszystkich przedsięwzięciach! twoje smętny giermku, którego wrodzoną wesołość umniejsza jakaś ta-

jemna troska! oby pomyślniejsze dni przywróciły ci nie przerwaną niczém pogodę czoła! twoje piękny paziu, którego czuła tęskność, oznacza duszę słodszemi troskami zajętą! oby ta szczęśliwa kobieta, która w tobie wzbudziła miłość, wypłaciła się za nią, godną ciebie miłością; a jeśli jeszcze nie kochasz, obyś wkrótce pokochał piękność wzajemną dla ciebie! Wasze zdrowie moi panowie.

—»Tak jest kocham! kocham na zawsze! zawołał Sergy; któżby mógł ujrzéć ciebie i nie kochać? Zdrowie Inezy de las Sierras! pięknéj Inezy!

—»Zdrowie Inezy de las Sierras! powtórzyłem wstając z krzesła.

—»Zdrowie Inezy de las Sierras! pomruknął Boutraix, nie ruszając się z miejsca i pierwszy raz w życiu wniósł uroczyste zdrowie, bez picia.

—»Zdrowie was wszystkich, rzekła Inez, powtórnie niosąc kieliszek do ust, lecz nie wypróżniła go zupełnie.

Sergy schwycił go namiętnie. Sam nie wiem dla czego chciałem go wstrzymać, jak gdybym rozumiał że się napije trucizny.

Boutraix wpadł znowu w osłupienie, ogarniające wszystkie władze jego duszy.

—»To dobrze: rzekła Inez, zarzucając rękę około szyi Sergego; a drugą, tak pałającą jak ta o któréj wspomina legenda Estewana, kładąc na jego sercu: słodszy jest i milszy ten wieczór, nad wszystkie które zapamiętam. Jak ci się zdaje panie giermku, wszakże nam tylko brakuje uroku muzyki?

—»Ach! rzekł Boutraix, nie mogąc prawie co innego wyrzec, czyliż będzie śpiewać?

—»Spiewaj! śpiewaj! odpowiedział Sergy. Twój Sergy o to cię prosi!

—»Chętnie to uczynię: rzekła Inez: lecz wilgoć podziemi zamkowych, musiała uszkodzić mój głos, niegdyś czysty i pełny; prócz tego, umiem same

tylko smutne piosenki, nie stósowne przy wesołéj biesiadzie. Zaczekajcie: mówiła daléj, wznosząc czarowne oczy ku sklepieniu: zaśpiewam dumę *Nina Matada*; będzie nowa i dla was i dla mnie, gdyż ją ułożę śpiewając.

Każdy czuje, ile uroku użycza ożywiona improwizacya, natchnionemu śpiewowi. Biada temu, kto ozięble pisze myśl swoją, wypracowaną, rozebraną, wyprobowaną przez czas i rozwagę. Nigdy on nie wzruszy serca, w jego najgłębszych tajnikach. Być obecnym stworzeniu wielkiego pomysłu; widzieć je, wypadające z geniuszu artysty, jak Minerwa z głowy Jowisza, czuć, że nas unosi w pędzie swoim, przez nieznane krainy imaginacyi, na skrzydłach wymowy, poezyi, muzyki: jest to najżywsza rozkosz, jaką nasza niedoskonała natura mieć może, jedyna która je zbliża do bóstwa.

Téj rozkoszy doznałem po pierwszych dźwiękach Inezy. Tego com późniéj

uczuł, żadnym językiem wysłowić nie zdołam. Dwie części mego istnienia wyraźnie oddzieliły się w myśli mojéj; jedna, bezwładna i gruba, którą materyalny ciężar zatrzymywał na krześle w sali zamku Dżysmondo; druga, która wznosiła się w niebo ze słowami Ineży i od nich doznawała wszystkich wrażeń nowego życia, w niewyczerpane opływającego rozkosze.

Zmysły moje, jak wiecie, przystępne są takim wzruszeniom, lecz nie tak delikatne, aby całą ich potęgę uczuły. Inaczéj działo się z Sergym, który słabém tylko ogniwem łączył się z ludźmi i zawsze mógł się go pozbyć. Sergy wołał, płakał, od zmysłów odchodził, a gdy zachwycona Inez ginęła w natchnieniach, szczytniejszych od wszystkiego cośmy dotąd słyszeli, zdawało się iż go uśmiechem przyzywa do siebie. Boutraix ocucił się cokolwiek z ponurego przerażenia i wlepił w Inezę duże oczy, w których wyraz zajęcia i po-

dziwu, nastąpił na chwilę po wyrazie przestrachu. Baskara nie zmienił położenia; lecz słodkie wrażenia śpiewu, zaczęły brać górę nad jego bojaźnią; kiedy niekiedy podnosił czoło, na którém uwielbienie walczyło z przestrachem i wzdychał.

Krzyk uniesienia nastąpił po śpiewie Inezy. Sama nalała wszystkim i śmiało trąciła kieliszkiem swoim o kieliszek Butrego. Usunął ku sobie nie śmiałą rękę, widział że piją i sam się napił.

—»Niestety! rzekła, już nie umiem śpiewać, albo ta sala nie odbija głosu mego. Niegdyś, każden atom w powietrzu, odpowiadał mi i zgodnych użyczał dźwięków. Natura już nie ma dla mnie téj wszechwładnéj harmonii, która się łączyła z memi słowy, gdym była szczęśliwą i kochaną. O Sergy! mówiła daléj, czule spoglądając na niego; nie będąc kochaną nie można śpiewać.

—»Kochaną! zawołał Sergy, okrywając całunkiem jéj rękę. Ubóstwio-

na, Inezo, czczoną jesteś jak bogini! Jeźli tylko potrzeba ofiarować serce, duszę, wieczność całą, ażeby natchnąć twój geniusz, śpiewaj Inezo, śpiewaj jeszcze, śpiewaj zawsze!

—»Tańczyłam także: rzekła opierając smętnie głowę swoją na ramieniu Sergego: lecz czyliż mogę tańczyć bez instrumentów muzycznych? Wybornie! zawołała nagle: jakiś geniusz życzliwy wsunął te dzwoneczki za moją przepaskę: i wyjęła je z uśmiechem.

—»Nadeszłeś dniu potępienia! rzekł Boutraix. Spełni się ostatnia tajemnica. Zbliża się sąd ostateczny! Ona będzie tańczyć.

Gdy Boutraix mówił te słowa, Inez wstała i zaczęła powolnemi i poważnemi kroki, w których, rozwijała się z uderzającym wdziękiem, wspaniałość jéj kształtów i szlachetność jéj postawy. W miarę jak zmieniała miejsce i pokazywała się w coraz nowéj postaci, czuliśmy zadumienie i podziw jak

gdyby co raz to inna piękna kobieta; okazywała się przed naszemi oczyma: tyle umiała sama siebie przezwyciężać, w niewyczerpanéj rozmaitości pozycyi i ruchów. Szybkiemi zwroty przechodziła z poważnéj godności, do umiarkowanych uniesień ożywiającéj się rozkoszy, po tém do zachwycenia które nie ma nazwiska, po tém znikała w cieniach niezmiernéj sali, a odgłos dzwoneczków słabnął w miarę jéj oddalenia i cichnął, cichnął ciągle, aż razem przestaliśmy go słyszeć, przestawszy ją widzieć; potem wracał z daleka, wzmagał się stopniami i brzmiał niespodzianie, gdy nam się zjawiła w potokach światła, tam, gdzieśmy się jéj wcale nie spodziewali; a wówczas zbliżała się tak, iż prawie dotykała się nas suknią swoją, dzwoniąc z odurzającą szybkością dzwoneczkami, które świergotały jak koniki polne i pośród ich jednostajnéj wrzawy wydając kilka przenikliwych lecz wzruszających krzyków,

które dochodziły do głębi duszy. Po tém oddalała się znowu, zagłębiała się w cieniu, zjawiała się i znikała kolejno, umyślnie uciekając z przed oczu naszych; potem nie było jéj ani widać ani słychać, słyszeliśmy tylko daleką i żałosną nótę jak westchnienie konającéj dziewicy. Staliśmy zbłąkani, z sercem bijącém od uwielbienia i bojaźni, oczekując téj chwili, gdy jéj zasłona, porwana ruchem tańca, znowu zacznie pływać przy świetle pochodni, gdy jéj krzyk radośny ostrzeże nas o jéj powrocie, krzyk na który odpowiadaliśmy mimo woli, ponieważ obudzał w nas tysiące ukrytych harmonii. Wówczas, powracała, kręciła się w koło jak kwiat oderwany wichrem od gałęzi; podrzucała się z ziemi, jak gdyby od jéj woli zależało porzucić ją na zawsze; nie tańczyła po posadzce, zdawało się iż tylko odbija się od niéj i że tajemniczy wyrok przeznaczenia, nakazał jéj po to tylko dotykać się ziemi, ażeby od niéj uciekać. A jéj

głowa pochylona z wyrazem pieszczotliwéj niecierpliwości, a jéj ręce wdzięcznie zaokrąglone, na znak wzywania i modłów, zdawały się błagać nas, ażebyśmy ją zatrzymali.

Sergy pierwszy uległ téj niezwalczonéj ponęcie i schwycił ją w swoje objęcia.

—„Zostań! rzekł, lub umrę!

—„Odchodzę, odpowiedziała i umrę jeźli nie przyjdziesz. Duszo Inezy! czyliż nie przyjdziesz?

Przez pół upadła na krzesło Sergego, objąwszy go rękoma za szyję i wtedy rzeczywiście przestała nas widzieć.

—„Słuchaj Sergy, mówiła; wyszedłszy z téj sali, zobaczysz na prawéj stronie korytarz długi, wązki, ciemny (uważałem nań gdyśmy wchodzili do zamku) pójdziesz nim daleko i ostrożnie, po złamanych flizach. Idź! idź zawsze! Nie odstraszaj się mnóstwem jego zakrętów; nie można tam zbłądzić. Dojdziesz do schodów z któremi się łą-

czy, prowadzą one do podziemiów. Brakuje tu i owdzie stopni, lecz miłość zwycięża te przeszkody; wszakże niewstrzymały, ażebym przyszła do ciebie, kroków słabéj kobiety? Idź, idź daléj; znajdziesz potem kręte schody jeszcze bardziéj zniszczone, lecz ja ciebie poprowadzę; zastaniesz mię przy nich. Nie lękaj się moich puszczyków; oddawna są to jedyni moi przyjaciele. Puszczyki rozumieją mój głos i przez otwarte okienka grobu w którym mieszkam, wyprawię ich na blanki zamkowe. Idź! idź zawsze! Lecz pójdź, nie spóźniaj się. Czy przyjdziesz?

—»Czy przyjdę! zawołał Sergy. Ach! prędzejbym poniósł śmierć wieczną, niżeli nie poszedł wszędzie za tobą!...

—„Kto mię kocha, niech idzie za mną! odpowiedziała Incz z przerażającym śmiechem.

W tejże chwili podniosła osłonę i znikła na zawsze w głębi ciemnéj sali.

Rzuciłem się na przeciw Sergego i schwyciłem go silnie. Boutraix przyszedłszy do siebie na widok niebezpieczeństwa swego towarzysza, dopomógł mi. Baskara wstał także.

—„Panie poruczniku! rzekłem do Sergego: starszy od ciebie wiekiem i stopniem, jako twój przyjaciel, jako twój kapitan, rozkazuję ci, ażebyś ani na krok nie postąpił. Czy nie widzisz nieszczęśliwy, że jesteś odpowiedzialnym za życie nas wszystkich? Czy nie widzisz, że ta kobieta, niestety, nazbyt ponętna, jest tylko narzędziem rozbójników ukrytych w tém zamczysku? Wysłali ją po to, ażeby nas rozłączyć i zgubić. Gdybyś był sam i gdyby ci wolno było rozrządzać sobą, pojąłbym twoje zgubne obłąkanie i tylko litowałbym się nad tobą. Inez posiada wszystko co może usprawiedliwić taką ofiarę; lecz pomnij, że tylko przez rozdzielenie spodziewają się pokonać nas, i że jeźli mamy tu umrzeć, musimy drogo

przedać naszę życie, nie zaś zginąć w tak prostéj zasadzce. Sergy, przedewszystkiem należysz do nas, nie puścimy cię.

Tysiąc sprzecznych uczuć walczyło w jego rozumie; wpatrzył się we mnie i bez siły upadł na krzesło.

—„Do roboty, moi panowie! rzekłem, ciężko zamykając drzwi, na zardzewiałych zawiasach. Zrobimy zaporę z tych starych sprzętów. Przez ten czas gdy ją rozrzucać zaczną, mieć będziemy czas do porwania za broń i odparcia napaści. Nie damy się dwudziestu rozbójnikom, a wątpię żeby ich tylu było.

—„I ja wątpię: rzekł Boutraix, gdyśmy już ukończyli te środki ostrożności i znowu zasiedliśmy przy stole, do którego zbliżył się wreście Baskara, nieco uspokojony naszą odwagą. Roztropne to są środki, a najmężniejszy żołnierz, nie ubliża swojéj odwadze, zabezpieczając się od nagłego napadu; lecz sądzę że wyobrażenie jakie utwo-

rzyłeś sobie o tym zamku, pozbawione jest wszelkiego podobieństwa do prawdy. Gromada rozbójników nie przebywałaby, pośród wojsk naszych i pośród przestrachu jaki wznieca nasza niespracowana policya, w zwaliskach starego zamku o pół mili od miasta. Jest to rzecz jeszcze bardziéj nie podobna do prawdy, niżeli te wszystkie, którym zaprzeczaliśmy przed chwilą.

—,,W istocie: rzekłem szydząc sobie: czy myślisz Boutraix, że Wolter i Piron byliby tego zdania?

—,,Kapitanie: odpowiedział z zimną powagą, na którą, sądziłem, iżby się nigdy nie mógł zdobyć, a którą zapewne wzbudzały nowe wyobrażenia powstające w jego umyśle: przez niewiadomość i zarozumienie moje, zasłużyłem na to szyderstwo i nie będę gniewał się o nie. Sądzę, że ani Wolter ani Piron nie wytłómaczyliby tego co się stało w oczach naszych; lecz jakiekolwiek jest to zdarzenie i co bądź mo-

że z niego wyniknąć, zostanę w tém mniemaniu, iż nieprzyjaciele z któremi do czynienia mieć możemy, nie potrzebują drzwi otwartych.

—,,Przydajmy do tego, rzekł Baskara, iż taki postępek byłby niegodnym nawet najniezgrabniejszych rozbójników. Wysyłając tę Inezę tak zręczną, którą uważacie za ich wspólniczkę, obudziliby raczéj waszą uwagę, nie zaś ją rozerwali. Czyliż mogli sądzić, iż znajdzie się tak szalony człowiek (przepraszam pana Sergy) coby miał pójśdź za marą do grobów? a jeźli nie podobna rachować na ten wypadek, po cóż było wysyłać takie cudowne zjawisko, które tylko posłużyłoby do zwrócenia waszéj uwagi? Nie byłoż właściwiéj, dozwolić ażebyście przepędzili część nocy w ślepém zaufaniu i czekać téj chwili, gdy pogrążonych we śnie i odurzonych winem, będą mogli zamordować bez trudu: jeźliby wasze łupy, dosyć lekkie i prędzéj mogące wydać ich,

niżeli zbogacić, podnieciły ich chciwość. Co do mnie, widzę w takiém tłomaczeniu, wysilenie niedowiarczego umysłu, któren upornie walczy z oczywistością i woli dać wiarę rachubom własnéj fałszywéj roztropności, niżeli cudom Bożym.

—„Bardzo dobrze, mości Baskaro: odpowiedziałem na to: nie można lepiéj rozumować i zgadzam się na twoje zdanie. Lecz jeźli to wyjaśnienie nie jest dobre, jestżeś pewnym że innego nie mam w zapasie? Wydajesz się teraz tak spokojnym, że mię zrozumieć zdołasz, a ta spokojność co tak prędko nastąpiła po twoim przestrachu, dostarczy mi w potrzebie jednego jeszcze dowodu. Jesteś aktorem panie Baskaro, bardzo dobrym aktorem; lepiéj dowiodłeś tego téj nocy, niżeli kiedy kolwiek indziéj. Czy nie znasz téj cudownéj śpiewaczki, téj niezrównanéj tancerki, którą zapewne zachowujesz na otwarcie teatru w Barcelonie? Nie by-

łoż to zabawnie, doświadczyć jéj talentów, w scenie doskonale prowadzonéj, na drażliwéj czułości trzech namiętnych amatorów, których entuzyazm może posłużyć za rękojmię przyszłego powodzenia twojego? Czyliż także, przez próżność hiszpańską, nie uwiodłeś się nieco zawczesną nadzieją, że w trzech oficerach francuzkich wzbudzisz niejaką niespokojność? Co mówisz na to?

—„Ach! ach, rzekł Boutraix uśmiechając się i dopijając szklankę: bo tylko szukał pozoru ażeby znowu został wielkim filozofem jak wprzódy: cóż mówisz o tém, mości żartownisiu?

Sergy który ciągle pogrążony był w zamyśleniu, spojrzał na nas wzrokiem nie tak smutnym i nie tak obłąkanym. Ta myśl, że znajdzie Inezę między żyjącemi, przyniosła niejaką ulgę jego boleści i wzbudziła nadzieję że jeszcze ją zobaczy.

Baskara ruszył ramionami.

—„Pozwól: mówiłem daléj, biorąc go za rękę: ten żart nie jest w tak złym guście i nie może nas rozgniewać; tyle uczynił nam przyjemności iż ci nawet wdzięczni jesteśmy. Przydam jeszcze i nie zaprzeczą tego moi współtowarzysze, iż każdy z nas chętnie zapłaci za miejsce na tém widowisku; lecz teraz, po odegraniu sztuki, powinieneś wyjawić nam jej tajemnicę, jako ludziom, których bezkarnie mistyfikować nie można. Wytłómacz się więc szczerze; rozbierzmy te niepotrzebne zapory i przywołaj Inezę. Uprzedzam cię, że każdą zwłokę przechodzącą obręb jaki grzeczność nasza raczyła naznaczyć, poczytamy za ciężkie ubliżenie i drogo zapłacisz za nie. Czemuż nie odpowiadasz?

—»Gdyż nie potrzebna jest odpowiedź, rzekł Baskara. Jedna chwila rozwagi, byłaby was o tém przekonała. Zdaję się na was samych.

—»Czy tak, mości panie? Lecz zdaje mi się żem dosyć wyraźnie mówił.

—»Przyznaję, że wyraźnie. Lecz gdzież jest podobieństwo do prawdy? Posłuchajcie mię proszę. Czy nie prawda, żeście mię zobaczyli dziś rano w powozie Estewana? Czy nie prawda, że od tego czasu, nie rozstałem się z wami ani na chwilę?

—»Prawda, rzekli Sergy i Boutraix.

—»Idźmy dalej, mówił Baskara.

—»Czyliż mogłem przewidzieć, że niespodziana burza zaskoczy nas przy wyjeździe z Girony? Czy mogłem przewidzieć, że dziś nie staniemy w Barcelonie? że w oberży Mattaro nie będzie miejsca? że powźmiecie zuchwały zamiar nocować w zamku Dżysmondo, na którego wspomnienie dreszcz przejmuje podróżnych? Czyliż ze wszystkich sił nie opierałem się temu przedsiewzięciu i czyliż nie przyszedłem tu, prawie gwałtem przyprowadzony?

—»To prawda, rzekł Boutraix.

—»To prawda, powtórzył Sergy.

—»Jeszcze nie dosyć na tem. W jakimże celu byłbym urządził tę cudowną intrygę? Oto, dla doświadczenia jak się podoba trzem oficerom z załogi w Gironie, śpiewaczka i tancerka taka, jaką widzieliście przed chwilą. Tak ją nazywacie, nie sprzeciwiam się temu. W rzeczy saméj, moi panowie, za wiele czynicie zaszczytu ubogiemu reżyserowi prowincyonalnego teatru, przypuszczając, że bezpłatnie dawałby takie reprezentacye. Ach! gdybym miał taką aktorkę jak Inez (oby miłosierdzie Boga mogło zstąpić na nią) nie narażałbym jéj, ażeby dostała śmiertelnego zapalenia piersi pod wilgotnemi sklepieniami tego przeklętego zamku, albo też zwichnęła sobie nogę między zwaliskami. Nie poprowadziłbym jéj do Barcelony, gdzie od rozpoczęcia wojny jest powszechna biéda i nędza, mogąc zrobić majątek w ciągu kilkunastu reprezentacyi na wielkim teatrze w Medyo-

lanie i w Paryżu. Pedrina z Madrytu, o któréj tyle mówiono, chociaż raz tylko wystąpiła i którą obsypano wieńcami, Pedrina sama, czyliż się z nią może porównać? Śpiewaczka! słyszeliście ją... Tancerka! która ani na chwilę stopą swoją nie dotknęła się ziemi.

»To prawda! zawołali razem Sergy i Boutraix.

—»Jeszcze słowo, przydał Baskara, Zadziwiła was moja niespodziana spokojność; czemuż nie, wszakże i mnie samego zadziwiła? Nagłe i niecierpliwe odejście Inezy, oznaczało, że skończyła się godzina zjawienia, a ta myśl przyniosła mi ulgę. Dla czego zaś trzéj potępieni nie pokazali się jak zwyczajnie, jest to trudniejsze pytanie; lecz tyle troszczę się o nich ile mi nakazuje miłosierdzie chrześciańskie. Dotycze się ono tych szczególniéj, podług wszelkiego podobieństwa, którzy ich udawali.

—»A więc, rzekł Boutraix, niech Bóg zmiłuje się nad nami.

—»Dziwna tajemnica! zawołałem uderzając pięścią w stół, gdyż uznałem słuszność rozumowań Baskary. Cóż więc widzieliśmy przed chwilą?

—»To, co ludzie rzadko bardzo widzą w tém życiu, rzekł Baskara, a czego wielka część ludzi nie zobaczy w życiu przyszłém, duszę z czysca.

—»Mości panowie: rzekłem dość stałym głosem: zaszła w tém tajemnica, któréj żaden rozum ludzki odgadnąć nie zdoła. Ukrywa się ona, bez wątpienia, w jakiéj przyrodzonéj okoliczności, któréj na teraz domyśleć się nie możesz. Cóżkolwiek bądź, nie przystoi, ażeby honor trzech oficerów francuzkich narażony był przez opowiadanie nadzwyczajnéj sceny, któréj zagadka odkryta prędzéj czy późniéj, wystawiłaby nas na śmieszność. Przysięgam na honor i od was tejże saméj wymagam przysięgi, iż przez całe ży-

cie moje nie wspomnę o wypadkach téj nocy, dopóty, dopóki nie wyjaśnią się przyczyny tego dziwacznego zdarzenia.

—»Przysięgamy także, rzekli Sergy i Boutraix.

—»Swiadczę się boskim Zbawicielem naszym, którego święto narodzenia kościół obchodzi w téj godzinie, że nikomu nie wspomnę o tém, tylko mojemu spowiednikowi, pod pieczęcią sakramentu pokuty i niechaj będzie cześć i chwała Panu, po wszystkie wieki rzekł Baskara.

—„*Amen*! rzekł Boutraix ściskając go z szczerém wywnętrzeniem. Proszę cię kochany bracie, żebyś nie zapomniał o mnie w modlitwach swoich.

Noc posuwała się. Niespokojny sen zamknął nasze powieki. Nie potrzebuję wspominać, jakie zakłócały go marzenia. Słońce weszło nareście, na niebie pogodniejszém niżeli można było spodziewać się i nie mówiąc ani słowa

jedni do drugich, za wczasu przyjechaliśmy do Barcelony.

—„A potem? rzekł Anastazy,

—„Po tem? Czegóż chcesz, czyliż się powieść nie skończyła?

—„Zdaje mi się, że jéj jeszcze czegóś nie dostaje, rzekła Eudozya.

—„Cóż mam przydać? W trzy dni potém, wróciliśmy do Girony, a tam już był przyszedł rozkaz wyruszenia z pułkiem. Klęski kampanii r. 1812, zmusiły Napoleona, do połączenia wyboru wojsk swoich. Odbyłem kampanią r. 1813go razem z Boutrem, który został nabożnym, od czasu jak rozmawiał z tajemniczą Inezą, i z Sergym, który już nie zmienił przedmiotu swojéj miłości, od czasu jak się zakochał w widziadle. W bitwie pod Lutzen, Sergy stał przy mnie. Nagle pochylił się i głowa jego uderzona śmiertelnym ciosem, padła na szyję mego konia.

—„Inezo! rzekł, połączę się z tobą! i wydał ostatnie tchnienie.

W kilka miesięcy po tém, wojsko wróciło do Francyi. Po zawarciu pokoju, Boutraix wstąpił do klasztoru, a ja osiadłem w dziedzictwie moich ojców. Na tem koniec.

—„Nie na tém kończy się historya Inezy; rzekł Anastazy. Musisz więcéj wiedzieć.

Historya ta jest zupełna w swoim rodzaju, odpowiedziałem. Chcieliście słyszeć powieść o strachach i uczyniłem zadosyć żądaniu waszemu. Wszelkie inne rozwiązanie byłoby niestósowne.

—„Zły to wybieg, rzekł Anastazy, usiłujesz uniknąć wyjaśnienia. Rozumujmy nieco, gdyż loika wszędzie ma miejsce, nawet w powieści o strachach. Zobowiązaliście się, na słowo honoru, że zamilczycie o wypadkach owéj nocy, dopóki nie poznacie przyczyn zjawiska. Otóż więc, nie mogłeś uwolnić się od tego zobowiązania *synallagmatycznego* (tak się nazywa w ję-

zyku prawniczym) niczém inném, tylko zastrzeżoném wyjaśnieniem: chyba że śmierć jednego, a wstąpienie do klasztoru drugiego z towarzyszów twoich, uważasz za powód zwalniający; lecz uprzedzam cię, że tego powodu nie przyjmuję i że przełamałeś twoje zobowiązanie, jeźli nie wyjaśnisz całego tego wypadku.

—„Proszę cię mój przyjacielu, nie przemawiaj do mnie językiem prawnym. Nigdy jeszcze nie miałem procesu. Lecz historya któréj żądacie odemnie, jest zupełnie odrębna. Już biła godzina pierwsza po północy. Zobaczymy się za tydzień, a wtedy uczynię zadosyć żądaniu waszemu. Przez ten czas, wyobraźnia wasza niech pracuje nad rozwiązaniem téj zagadki. Jednakże ostrzegam was, że jest to historya prawdziwa, od początku do końca, że nie ma w niéj ani podejścia, ani mistyfikacyi, ani złodziejów, ani strachów.

INEZ DE LAS SIERRAS.

CZĘŚĆ DRUGA.

—„Lecz, jeźli to nie było istotne zjawienie: rzekł Anastazy, gdyśmy się znowu zeszli: powiedz nam co to było? Przez cały tydzień myślałem nad twoją powieścią, a nie mogłem jéj wytłómaczyć sobie.

—„Ani ja, rzekła Eudoxya.

—„A jednakże jest bardzo naturalna, odpowiedziałem: i nie jeden słyszał albo widział na własne oczy, rzeczy daleko dziwniejsze od tych, które wam opowiem, jeźli mię słuchać zechcecie.

Scisnęło się koło: gdyż podczas długich wieczorów w prowincyonalném miasteczku, słuchanie powieści jedyną jest rozrywką, i zacząłem.

»Powiedziałem, że pokój zawarto, że Sergy zginął, Butraix wstąpił do klasztoru, a ja osiadłem na wsi. Dochód zebrany z lat kilku, podczas moich kampanii, uczynił mię prawie bogatym; a dziedzictwo które spadło na mnie, pomnożyło moje dostatki. Umyśliłem wydać je na podróże, mające na celu naukę i rozrywkę. Wahałem się przez chwilę, jaki kraj mam zwiedzieć. Lecz moje serce wzywało mię do Barcelony, a romans ten, gdybym go opowiedział, byłby dłuższym od głównéj powieści. List Pabla de Clauza, jednego z moich najdroższych przyjaciół, rozstrzygnął moje postanowienie. Pablo żenił się z Leonorą, Leonora była siostrą Estelli, a ta Estella o któréj tylko namienię, była bohatyrką romansu o którym zupełnie zamilczę.

Nie zdążyłem na ślub; odbył się przed trzema dniami, lecz uroczystości weselne trwały przez dni kilkanaście, podług miejscowego zwyczaju. Estella przy-

jęła mię jako przyjaciela, którego pragnęła widzieć, a moje z nią stosunki nie nadawały mi prawa do czulszego przyjęcia, mianowicie po dwuletniéj nieobecności, gdyż to było w r. 1814, w krótkich chwilach pokoju, przed powrotem Napoleona z wyspy Elby.

—»Jedliśmy wcześniéj jak zazwyczaj: rzekł Pablo wracając do salonu; wieczerza nam to wynagrodzi, ale trzeba było żeby nasze damy ubrały się na teatr. Wszyscy chcą widzieć, może raz pierwszy i ostatni, sławną Pedrinę. Ta artystka jest tak fantastyczna! Bóg wié czyli nam jutro nie uciecze.

—„Pedrina? rzekłem. To nazwisko raz już mię uderzyło, a to w okoliczności tak pamiętnéj, iż nigdy o niém nie zapomnę. Nie jest że to owa nadzwyczajna śpiewaczka i jeszcze bardziéj nadzwyczajna tancerka, która znikła z Madrytu, po jednym dniu tryumfu, i któréj śladów nie można było znaleźć? Bez wątpienia zadowalnia ciekawość,

widzów, talentami wyższemi nad wszelkie porównanie; lecz przyznam się, iż osobliwszy wypadek w życiu mojém; uczynił mię obojętnym na wzruszenia tego rodzaju i że nie jestem ciekawy widzieć, nawet Pedrinę. Pozwólcie, że wam towarzyszyć nie będę.

—„Jak ci się podoba, odpowiedział Pablo. Lecz mniemałem, iż Estella spodziewała się że jéj towarzyszyć będziesz.

Estella weszła do salonu i zbliżyła się do mnie. Zapomniałem, żem postanowił nie widzieć żadnéj tancerki, nie słyszeć żadnéj śpiewaczki po Inezie de las Sierras; lecz byłem pewny że tego dnia samą tylko Estellę będę widział i słyszał.

Przez długi czas dotrzymałem słowa, i nie mógłbym powiedziéć co z początku grano i mówiono. Oklaski nawet, któremi powitano Pedrinę, nie zwróciły mojéj uwagi; siedziałem spokojny, gdy w tem głos którego mi nie podobna było nie poznać, przerwał chwilową ciszę

publiczności. Głos Inezy nigdy nie przestał brzmieć w uchu mojém, towarzyszył wszystkim moim dumaniom, umilał sny moje; a głos brzmiący w téj chwili, był to głos Inezy.

Zadrżałem, krzyknąłem, poskoczyłem na przód loży, z oczyma wlepionemi w scenę. Była to Inez, tak jest Inez!

Przedewszystkiém, szukałem w około siebie, okoliczności mogących utwierdzić mię w tém wyobrażeniu, że jestem w Barcelonie, że jestem w teatrze, że nie stałem się, jak codziennie od dwóch lat, igrzyskiem mojéj wyobraźni, że nie wpadłem w zwyczajne marzenia moje. Usiłowałem schwycić rzecz jaką, któraby mię przekonała o prawdzie wrażeń moich. Znalazłem rękę Estelli i silnie ją ścisnąłem.

—„I cóż! rzekła z uśmiechem, tak byłeś pewny, że głos kobiety nie uczyni na tobie wrażenia! Pedrina ledwie zaczęła śpiewać, a już odchodzisz od siebie!

—„Jestżeś pewną, Estello, odpowiedziałem, że to jest Pedrina? Czy wiesz dokładnie, że to jest kobieta, aktorka, czyli też zjawienie?

—„W istocie, odpowiedziała, jest to kobieta, nadzwyczajna aktorka, śpiewaczka niezrównnana; lecz nie sądzę, ażeby mogła bydź czém więcéj. Twój entuzyazm, zważaj na to: przydała obojętnie: zatrważa twoich przyjaciół. Nie pierwszym byłbyś, jak mówią, któryby ujrzawszy ją, utracił rozum; a ta słabość serca nie byłaby miłą zapewne, twojéj żonie, lub kochance.

To mówiąc usunęła rękę; nie zatrzymałem jéj; Pedryna śpiewała ciągle.

Tańczyła potém, a myśl moja z nią razem uniesiona, uległa bez oporu wszelkim wrażeniom które w nas wzbudzić chciała. W powszechném zachwyceniu ukrywało się moje: lecz powiększyło się jeszcze; znikł z przed oczu moich czas upłyniony między pierwszém a drugiém spotkaniem; bo żadne wrażenie w tym samym rodzaju i tak

silne, nie wyrównało pierwszemu; zdało mi się, że jeszcze jestem w zamku Dżysmondo, lecz w zamku powiększonym, ozdobionym, zaludnionym niezmiernym tłumem, a wnoszące się zewsząd okrzyki,brzmiały w moich uszach, jakby odgłosy radości szatanów. A Pedrina, przejęta szczytnym szałem, jaki same tylko piekło może wzbudzić i podsycać; przebiegała scenę, uciekała, wracała, latała w powietrzu, pędzona i przyciągana niezwyciężoném natchnieniem,aż nareście zdyszana, wycieńczona, bez siły, padła na ręce tancerzy, wymawiając rozdzierającym głosem, nazwisko które się boleśnie w mojém sercu odbiło.

—»Sergy nie żyje! zawołałem płacząc rzewnemi łzami i wyciągając ręce ku scenie.

—„Jesteś szalonym: rzekła Estella zatrzymując mię na miejscu: lecz uspokój się nareście, już jéj nie ma.

—„Szalony! pomyślałem sam w sobie, byłażby to prawda, czyliż mi się

zdaje żem widział i słyszał to, czego nie ma w rzeczywistości? Szalony! o Boże! odłączony od rodu ludzkiego i od Estelli, słabością która mię wyda na pośmiewisko powszechne. Nieszczęsny zamku Dżysmondo! takaż to kara czeka zuchwalców, którzy śmią wdzierać się w twoje tajemnice? Szczęśliwszy! tysiąc razy szczęśliwszy Sergy, że poległ pod Lützen!

Zagłębiłem się w tych wyobrażeniach, w tém uczułem iż Estella wzięła mię rękę i wyszliśmy z teatru.

—„Niestety! rzekłem do niéj ze drżeniem, gdyż zacząłem przychodzić do siebie: zapewne litujesz się nademną; lecz litowałabyś się bardziéj jeszcze, gdybyś znała zdarzenie, które opowiedzieć, nie jest mi wolno. To co dziś widziałem, jest dla mnie przedłużeniem tylko straszliwego zjawiska, którego mój rozum nigdy pozbyć się nie zdołał. Pozwól mi, niech zbiorę myśli moje; dziś nie mogę bawić się miłą rozmową; jutro będę spokojniejszym.

—»Jutro zrobisz co się podoba, rzekł Pablo, lecz dziś nie puścimy cię od nas. Z resztą przydał, prędzéj skłonią ciebie nalegania Estelli niżeli moje.

—»Jestże to prawda, rzekła Estella, zechcesz li poświęcić nam czas który zapewne przeznaczasz na zajmowanie się Pedriną?

—»Na Boga! zawołałem, nie wymawiaj tego nazwiska droga Estello, gdyż uczucie które obudza we mnie, nie podobne jest do żadnego o jakiém mogłabyś powziąźć podejrzenie, chyba do uczucia przestrachu. Dla czegóż nie mogę jaśniéj tłomaczyć się?`

Musiałem ustąpić. Zasiadłem przy wieczerzy nie jedząc wcale; przez cały czas mówiono o Pedrynie.

—»Zajęcie które wzbudza w tobie ta nadzwyczajna kobieta, odezwał się Pablo, tak jest exaltowane, iż ledwie przypuścić można, że się jeszcze powiększyć zdoła. Cóżby więc było gdybyś słyszał jéj przygody? Musiałbyś przy-

znać, że nieszczęścia Pedriny tak są zadziwiające, jak jéj talenta.

Nikt nie odpowiedział; wszyscy słuchali, a Pablo tak daléj mówił.

»Pedrina nie należy do rzędu zwyczajnych tancerek i aktorek. Pochodzi z jednéj z najdawniejszych i najznamienitszych rodzin staréj Hiszpanii. Nazywa się Inez de Las Sierras!

—»Inez de las Sierras! zawołałem zrywając się z miejsca, w stanie exaltacyi, którego opisać nie podobna. Inez de las Sierras! Jestże to prawda? Lecz czy wiesz Pablo kto to jest Inez de las Sierras? Czy wiesz skąd ona przychodzi i na mocy jakiego straszliwego przywileju pokazuje się na teatrze?

—»Wiem, rzekł Pablo z uśmiechem, iż to jest szlachetna i nieszczęśliwa istota; jéj życie równą wzbudza litość jak uwielbienie. Nie dziwi mię wzruszenie które wzbudziło w tobie jéj nazwisko, gdyź bydź może iż cię już uderzyło w smętnych dumkach naszych.

»Historya którą sobie przypomniał nasz przyjaciel: rzekł obracając się do obecnych: opiera się na podaniach gminnych z wieków średnich, wynikły one zapewne z jakich rzeczywistych zdarzeń i utrzymały się od pokolenia do pokolenia w pamięci ludzi, tak dalece, iż nabrały historycznéj powagi. Podanie dotyczące się Inezy, musiało bydź niezmiernie upowszechnione w wieku XV, gdyż zniewoliło potężną rodzinę las Sierras opuścić Hiszpanią i przenieść się do Mexyku. Rzecz pewna, że smutna fatalność nie przestała jéj ścigać i w inném półsferzu. Słyszałem nie raz, że od lat trzechset wszyscy jéj naczelnicy zginęli gwałtowną śmiercią.

„Na początku dziewiętnastego wieku, ostatni z szlachetnych panów domu Las Sierras, żył jeszcze w Mexyku. Smierć wydarła mu żonę; pozostała mu tylko córka w szóstym lub siódmym roku, imieniem Inez. Swietniejsze przymio-

ty nigdy jeszcze nie rozwinęły się w wieku tak młodocianym, a markiz de las Sierras niczego nie oszczędzał dla rozwinięcia tych szacownych darów i z nich wróżył sobie na swoje stare lata tak wiele szczęścia i chwały. Szczęśliwy! gdyby wychowanie jedynéj córki, mogło było zająć wszystkie jego chwile i myśli; lecz wkrótce doznał zgubnéj potrzeby, zajęcia serca swego inném uczuciem. Pokochał, rozumiał że jest kochanym; co więcéj, cieszył się że dał drugą matkę pięknéj Inezie i dał jéj niezbłaganą nieprzyjaciołkę. Żywe pojęcie Inezy objęło wszelkie trudności jéj nowego położenia. Zrozumiała wkrótce, że sztuki które były dla niéj przedmiotem rozrywki i uciechy, mogą z czasem stać się jéj jedynym ratunkiem. Jéj usiłowania i zapał, uwieńczył bez przykładny tryumf; po kilku latach już była wyższa od wszystkich swoich nauczycieli; najbieglejszy i najbardziéj zarozu-

miały, byłby się szczycił otrzymując od niéj naukę: lecz drogo opłaciła te zalety, jeźli jest prawdą, że od tego czasu, jéj rozum tak czysty, zwyciężony ciągłemi pracami, stopniowo psuć się zaczął i że chwilowe obłąkanie wskazywało zamęt jéj wyobraźni, wtedy właśnie, gdy się zdawało że jéj talenta doszły do najwyższego stopnia doskonałości.

„Pewnego dnia, znaleziono w ustronnéj ulicy, ciało markiza de Las Sierras. Kilkakrotnie przebity był sztyletem, lecz żadna okoliczność nie mogła wyjaśnić pobudek i wykryć sprawcy tak okrutnego morderstwa. Sąd publiczny wkrótce wskazał winowajcę. Ojciec Inezy nie miał znanego nieprzyjaciela; lecz przed powtórném ożenieniem miał rywala, znanego w Mexyku z gwałtowności charakteru. Wszyscy, w myśli swojéj obwiniali go o tę zbrodnię, lecz żaden dowód nie popierał

tego powszechnego zdania. Z tém wszystkiem, mniemanie powszechne nowéj siły nabrało, gdy po kilku miesiącach, wdowa zamordowanego oddała rękę jego mordercy. Inez pozostała samotna w domu swoich przodków, między dwiema osobami zupełnie obcemi dla niéj, które nienawidziła tajemnym instynktem wiedziona, a którym prawo ślepo poruczyło rodzicielską władzę nad jéj osobą. Paroxyzma zagrażające niekiedy jéj rozumowi, pomnożyły się przerażającym sposobem i nikt się temu nie dziwił, chociaż w ogólności nie wiedziano nawet połowy jéj nieszczęść.

„Był w Mexyku młody Sycylijczyk, zwany Gaetano Filippi; jego poprzedzające życie pokrywała jakaś podejrzana tajemnica. Lekkie wyobrażenie o sztukach pięknych, zajmująca lecz płocha rozmowa, wytworne obejście się, nieco przesadne, ta grzeczność, którą nadaje wychowanie albo znajomość świata,

otworzyły mu wstęp do wyższych towarzystw, skąd powinno go było oddalić zepsucie obyczajów. Inez ledwie mając lat szesnaście, zbyt exaltowana, prosta i niewinna, nie mogła przedrzéć téj zwodniczéj powierzchowności. Wzruszenie zmysłów, poczytała za objawienie pierwszéj miłości.

„Gaetano nie troszczył się o wyszukanie dla siebie dowodów znakomitego urodzenia i stanu; umiał fałszować te których mu było potrzeba i dać im wszelki pozór wiarogodności, mogący omamić najzręczniejsze i najbardziéj doświadczone oczy. Jednakże daremnie prosił o rękę Inezy. Macocha téj nieszczęśliwéj, umyśliła przywłaszczyć sobie jej majątek i nie byłaby wahała się w wyborze środków. Mąż dopomagał jej, chociaż ukrywał przed nią pobudki swéj gorliwości. Zakochał się w swojéj pupilli, śmiał oświadczyć jéj miłość swoją i spodziewał się że ją uwiedzie, ta okoliczność jeszcze

bardziéj powiększyła zmartwienia Inezy.

„Podobnie jak wszystkie osoby wyższym obdarzone geniuszem, Inez łączyła z wzniosłym i szczytnym talentem, słabość charakteru gotową uledz każdemu. W życiu umysłowém sztuk pięknych, była aniołem. W życiu pospolitém i praktyczném była dzieckiem. Prosty pozór - życzliwości, już podbijał jéj serce; a gdy serce uległo, rozum już nie czynił żadnych zarzutów. Takie usposobienie umysłu nie jest szkodliwe, pośród pomyślnych okoliczności i pod rozsądnym kierunkiem; lecz jedyny człowiek, który miał wpływ na nią w smutném osamotnieniu, od śmierci ojca, działał po to tylko żeby ją zgubić. Niewinność nie zdoła domyśléć się tak straszliwéj tajemnicy. Gaetano łatwo skłonił ją do ucieczki, którą wystawiał jako jedyny środek ocalenia. Przekonał ją także, że świętém prawem spadku, wszystko należy

do niéj w dziedzictwie jéj naddziadów. Ujechali z Mexyku, a po kilku miesiącach żeglugi, obficie opatrzeni w złoto i klejnoty, przybyli do Kadyxu.

„Tam spadła zasłona; lecz oczy Inezy jeszcze zaślepione fałszywym połyskiem miłości i rozkoszy, przez długi czas nie mogły rozeznać zupełnéj prawdy. Jednakże, towarzystwo wśród którego rzucił ją Gaetano, zastraszało ją niekiedy rozwiązłością swoich zasad. Dziwiła się, że przejście z jednego półsferza do drugiego, zrządziło tak wielką różnicę w obyczajach i mowie. Pośród tego tłumu kuglarzy, rozpustników i kobiet złego życia, składającym jéj zwyczajne towarzystwo, ze drżeniem szukała myśli odpowiedniéj jéj uczuciom i myślom, i znaleźć jéj nie mogła. Bogactwa wywiezione z Mexyku, zaczynały wyczerpywać się, a z niemi razem zmniejszała się obłudna miłość Gaetana. Pewnego dnia, daremnie pytała się o niego od rana, dare-

mnie czekała przez noc całą. Nazajutrz, przeszła z niespokojności do rozpaczy Okropna rzeczywistość dopełniła miary jéj cierpień. Gaetano odjechał ogołociwszy ją ze wszystkiego, odjechał z inną kobietą; opuścił ją ubogą, zniesławioną i na domiar nieszczęścia pogardzającą samą siebie. To uczucie szlachetnéj dumy, wspierające w nieszczęściu duszę wolną od wyrzutów, zginęło nareście w sercu Inezy. Przybrała imie Pedriny dla ochronienia się przed poszukiwaniami swojéj niegodziwéj macochy i jéj męża.

»Będę więc Pedriną: rzekła z gorzkiém postanowieniem: pogrążę się w niesławie i wstydzie, ponieważ takie jest moje przeznaczenie. I odtąd była tylko Pedriną.

„Pojmujecie, że nie będę opowiadał wszystkich szczegółów jéj życia; ona sama zamilczała o nich. Widzimy ją znowu na tém pamiętném wystąpieniu w Madrycie, które ją od razu umieści-

ło w rzędzie najsławniejszych artystek. Wzbudziła tak gwałtowny i tak namiętny zapał, iż całe miasto powtórzyło oklaski teatru; okrzyki i wieńce tłumu towarzyszyły jéj aż do jéj pomieszkania i widzowie dopiero wówczas oddalili się, gdy ją raz jeszcze ujrzeli w oknie jéj apartamentu. Lecz nie to jedno tylko uczucie obudziła. Pewien znakomity i niezmiernie bogaty grand Hiszpański, zakochał się w niéj namiętnie; już nie wystąpiła na scenie i wszystkie dary fortuny obsypały tę nieznaną awanturnicę, któréj wstydu i nędzy, przed rokiem, świadkiem były okoliczne prowincye. Mówiono tylko o jéj świetnych strojach, o bogactwie jéj klejnotów, o zbytku jéj powozów, i w brew zwyczajowi, dosyć łatwo przebaczono jéj te niespodziane bogactwa, ponieważ mało było mężczyzn między jéj sędziami, którzyby nie życzyli sobie, złożyć jéj dziesięć razy większe ofiary. Przydać trzeba na zaszczyt Pedriny, że

swoich dostatków nie wydawała na płonne dziwactwa. Z natury litościwa i wspaniałomyślna, niosła pomoc i pociechę do smutnéj izdebki chorego i ubogiego; wspomagała nieszczęśliwych, z uprzejmością pomnażającą wartość jéj dobrodziejstw.

„Nazwisko Pedriny doszło do uszu Gaetana, w nikczemnem ustroniu, gdzie ukrywał swoje sromotne życie. Już strwonił owoce zdrady i kradzieży, któremi żył dotąd. Żałował, iż nie poznał, jakie zyski mógłby ciągnąć z upodlenia swojéj kochanki. Postanowił wynagrodzić jakim kolwiek bądź sposobem tę pomyłkę, chociażby nawet przez nową zbrodnię. Ten sposób był dla niego najłatwiejszym. Znał serce Inezy i nędznik nie wahał się stanąć przed nią.

„Na pierwszy rzut oka, zdaje się, iż nie podobna było Gaetanowi usprawiedliwić swój postępek, lecz dla przebiegłego umysłu żadna rzecz nie jest

nie podobna, a zwłaszcza gdy mu dopomaga łatwowierność kochanki, a Gaetano nie tylko był pierwszym mężczyzną dla którego biło serce Inezy, lecz był jedynym którego prawdziwie kochała. Wszystkie następne błędy, którym się oddały jéj zmysły, zostawiły czczość i obojętność w jéj duszy; rzadkim bowiem lubo nie bez przykładnym zdarzeniem, zgubiła się lecz nie była zepsutą. Łatwo zawierzyła niedorzecznemu romansowi Gaetana. Inez potrzebowała dać mu wiarę, żeby odzyskać słaby cień znikłego szczęścia, a w takiém usposobieniu, umysł przestaje na jakich bądź wymówkach. Może bydź nawet, iż nie śmiała czynić zarzutów, tłumnie cisnących się do jéj myśli, bojąc się natrafić na taki, któryby bez odpowiedzi pozostał.

„Zdrajca nie omieszkał przy tém wszelkich użyć pozorów. Powracał z Sycylii, dokąd udał się ażeby wyjednać pozwolenie familii, na ożenienie się z

Inezą. Dokazał tego. Jego nawet matka raczyła towarzyszyć mu do Hiszpanii, chcąc czém prędzéj zbaczyć ukochaną synowę, o któréj utworzyła sobie najpochlebniejsze wyobrażenie. Jakże okropną wiadomość usłyszał w Barcelonie! Wieść o tryumfach Pedriny, doszła do niego razem z wieścią o jéj błędach i niesławie. Także to odpłaca tyle ofiar i poświęcenia?... Chciał sobie życie odebrać; lecz miłość wzięła górę nad rozpaczą. Ukrył przed matką smutną tajemnicę; pośpieszył do Madrytu, ażeby widzieć się z Inezą i przemówić do niéj, jeźli czas jeszcze, głosem honoru i cnoty; przybył ażeby przebaczyć i przebaczył. Cóż wam powiem? Inez zalana łzami, Inez obłąkana, przejęta zgryzotami, radością i wdzięcznością, padła do nóg nikczemnika i obłuda odniosła zwycięztwo prawie bez trudu, nad sercem zbyt czułém i zbyt ufającém. Zadziwiać może ta nagła zmiana, która nadała winowajcy wszełkie

prawa niewinności. Lecz zapytajcie się kobiet. Nie nie ma pospolitszego.

Jednakże, powinny były ocucić się podejrzenia Inezy, gdy ujrzała, iż Gaetano z większym pośpiechem zabiéra skarby których początku bez zapłonienia przypomnieć sobie nie mogła, aniżeli ją samą usiłuje oderwać od jéj występnych miłostek. Daremnie nalegała ażeby wszystko zostawić; nie słuchał jéj wcale.

„W cztéry dni potém, podróżny powóz zatrzymał się w Barcelonie, przed hotelem włoskim. Wysiadł z niego mężczyzna wytwornie ubrany i dama ukrywająca się troskliwie przed oczyma podróżnych i przechodniów. Był to Gaetano i Pedrina. W kwadrans potem, mężczyzna wyszedł i zwrócił się ku portowi.

„Nieobecność matki Gaetana wzmogła podejrzenia Inezy. Zdaje się, iż za jego powrotem wynurzyła ję bez ogródki. Rzeczą jest pewną, iż gwałtowny spór powstał między niemi wie-

czorem i wznawiał się kilkakrotnie w nocy. O świcie, Gaetano blady, zmięszany, przenieść kazał kilka kufrów na okręt mający odpłynąć tegoż samego rana, i sam wsiadł na niego ze szkatułką, którą zawinął w fałdy swego płaszcza. Stanąwszy na okręcie, odprawił ludzi, hojnie im zapłacił i polecił im najwyraźniej, żeby nie budzili pani, dopóki nie powróci. Przeszło kilka godzin; mówiono, że okręt odpłynął z portu, a jeden z ludzi którzy posługiwali Gaetanowi, powodowany smutném przeczuciem, chciał się o tém przekonać. Ujrzał znikające jego żagle na końcu widokręgu.

„Cisza ciągle trwająca w pokoju Inezy, zaczęła niepokoić. Przekonano się, że drzwi nie są zamknięte wewnątrz lecz zewnątrz i że nie ma klucza w zamku. Gospodarz nie wahał się otworzyć je drugim kluczem. Ujrzano wówczas okropne widowisko. Nieznajoma dama le-

żała na łóżku i byłoby można mniemać że śpi, gdyby nie była krwią zbroczona. Miała pierś przeszytą sztyletem, a broń mordercy jeszcze tkwiła w ranie.

»Nie będę rozwodził się nad tak okropnemi szczegółami. Wiedziało o nich całe miasto. O tém tylko nie wiedzą jeszcze niektóre osoby, nawet najbardziéj zajmujące się jéj losem: gdyż dopiero od nie dawnego czasu nieszczęśliwa może zebrać i opowiedziéć swoje przygody: że smutna ofiara téj zbrodni, jest tą samą zachwycającą Pedryną, o któréj nigdy nie zapomni Madryt i że Pedrina jest to Inez de las Sierras.

„Wracam się do dalszego ciągu opowiadania. Osoby obecne temu okropnemu widokowi i przywołani lekarze, wkrótce postrzegli, że nieznajoma dama jeszcze żyje. Usilne chociaż późne starania, uratowały jéj życie. W miesiąc potem wyszła z niebezpieczeństwa; lecz obłąkanie które okazało się od chwili

gdy odzyskała mowę i które przypisywano z razu skutkom mocnéj gorączki, nie ustąpiło ani działaniu lekarstw ani czasowi. Biédna istota, odzyskała życie fizyczne, lecz pozostała obumarła co do życia umysłowego. Była obłąkaną,

„Zgromadzenie siostr miłosierdzia, udzieliło jéj przytułku i miało o niéj jak najtroskliwsze staranie. Będąc celem ich dobroczynnéj opieki, wywdzięczała się za nią przez niezmienną łagodność: jéj bowiem obłąkanie nie miało téj porywczości i gwałtowności, jaka zwykle cechuje tę okropną chorobę. Częstokroć przerywały je chwile przytomności i rozsądku, trwające krócéj lub dłużéj i wzbudzające nadzieję uleczenia; potem były tak częste, iż przestano zważać na każde jéj ruszenie; zostawiano ją samą, podczas długich godzin nabożeństwa. Korzystała z téj sposobności i uciekła. Z początku byli bardzo niespokojni o nią i czyniono pilne poszukiwania. Pierwszego dnia

ucieczki, przechodzący zwracali na nią uwagę z powodu niezrownanéj piękności jéj rysów, wrodzonéj szlachetności obejścia i nieporządku okazującego się w jéj wyobrażeniach i mowie. Szczególniej uderzała dziwaczność jéj ubrania, złożonego na los z wytwornych lecz zniszczonych szczątków jéj teatralnéj toalety, któremi pogardził Sycylijczyk jéj morderca, a których sprzeczny dobór, osobliwie odbijał się od płóciennego worka w który zbierała jałmużny pospólstwa. Szli za jéj śladem, aż niedaleko od Mattaro; lecz w tem miejscu ślad ten zaginął i nie podobna było go znaleźć. Inez znikła z oczu, na dwa dni przed Bożém Narodzeniem, a gdy sobie przypomniano jak głęboki smutek ją ogarniał ilekroć wracała do rozumu, nie wahano się w tém mniemaniu, iż dobrowolnie zakończyła życie, rzucając się w morze. To wyjaśnienie tak było proste i naturalne, iż prawie nie szukano inne-

go. Nieznajoma obłąkana utopiła się; mówiono o tém przez dwa dni; trzeciego przestano mówić, jak zwykle bywa, a czwartego zapomniano zupełnie.

„Nadzwyczajne zdarzenie, nie mało wówczas przyczyniło się do odwrócenia uwagi od smutnego zgonu Inezy. Jest w okolicy Mattaro, stary zamek na pół zniszczony, zwany zamkiem Dżysmonda, w którym złe duchy przesiadują od kilku wieków i, jak mówi podanie, wyprawiają sutą biesiadę corocznie w wigilią Bożego Narodzenia. Obecne pokolenie nic takiego nie widziało, coby mogło utwierdzić tę śmieszną bajkę, lecz wypadek nie wyjaśniony niczém, wznowił ją w 1812. Tym razem nie było żadnéj wątpliwości, że w przeklętym zamku mieszkają jacyś szczególni goście, którzy skrycie wyprawiają biesiady. Nocne światło zajaśniało o północy w salach opuszczonych od tak dawnego czasu i wznieciło w sąsiednich

wioskach niespokojność i przestrach. Kilku podróżnych, którzy przypadkiem przejeżdżali blisko murów tego zamku, słyszeli dziwne i pomieszane głosy, z któremi łączył się niekiedy, śpiew nie wymownie przyjemny. Zjawiska burzliwéj nocy, jakich nie było przykładu w tak późnéj porze roku, pomnożyły wrażenie tej osobliwéj sceny, a łatwowierność i bojaźń nie omieszkały powiększyć wszystkich szczegółów tego wypadku. Nazajutrz i następnych dni, o niczém nie mówiono na kilkanaście mil w około, tylko o powrocie szatanów do zamku Dżysmonda, a zgodność tylu świadectw co do głównych okoliczności wypadku, wzbudziła w policyi sprawiedliwą obawę. Sciągnięto wówczas wojska francuzkie dla wzmocnienia niedobitków kampanii roku 1812, i była to dogodna chwila dla stronników Ferdynanda. Administracya uważała przeto ów mniemany zbór szatanów, w zwyczajną ro-

cznicę, za zgromadzenie spiskowych, chcących znowu rozwinąć sztandar wojny domowéj. Rozkazano przetrząsnąć tajemniczy zamek, a oczywiste dowody potwierdziły wieść gminną. Znaleziono ślady światła i biesiady, i można było wnieść z próżnych pozostałych butelek, iż biesiadników była znaczna liczba.

W tém miejscu, przypominając sobie nieugaszone pragnienie i niezmierną pijatykę Butrego, nie mogłem wstrzymać się od gwałtownego śmiechu, który przerwał opowiadanie i tak był sprzeczny z usposobieniem mego umysłu na początku téj powieści, iż mocno zadziwił Pabla. Wpatrzył się we mnie, czekając dopóki nie powściągnę popędu mojéj niegrzecznéj wesołości, a gdym się nieco uspokoił, mówił daléj:

»Była więc rzecz oczywista, iż odbyło się w zamku zgromadzenie znacznéj liczby ludzi; zapewne uzbrojonych i na koniach, gdyż pozostała w szopie re-

szta obroku; lecz nie znaleziono nikogo ze spiskowych i daremnie ich szukano. Dziwny ten wypadek nigdy się nie wyjaśnił, nawet i teraz, gdy jego sprawcy mogliby śmiało przyznać się i policzyć go sobie jako zasługę. Oddział któremu polecono wyprawę, już miał wrócić do Barcelony, gdy jeden żołnierz znalazł w podziemiach młodą dziewczynę, dziwacznie ubraną i pozbawioną rozumu. Zamiast uciekania przed nim, przybiegła do niego, wymawiając nazwisko którego nie spamiętał: „Tyżeś to? zawołała. Jakże długo czekałam na ciebie!« Wyprowadzona na światło, poznała swoją pomyłkę i zalała się łzami.

Domyślacie się, że tą dziewczyną była Pedrina. Jej rysopis rozesłany przed kilkoma dniami, był w pamięci wszystkich. Odwieziono ją do Barcelony, zapytawszy poprzednio, w chwili przystępu do rozumu, o nieodgadniony wypa-

dek zaszły w wilię Bożego Narodzenia; lecz wypadek ten zostawił w jéj myśli bardzo pomięszane ślady, a jéj zeznania, o szczerości których nie było można wątpić, jeszcze bardziéj powikłały śledztwo. To tylko wykazało się, że myśl panująca w jéj obłąkanéj wyobraźni, skłoniła ją do szukania w zamku Las Sierras, przytułku, do którego jej nadawało prawo jéj urodzenie; iż weszła tam, wązkim otworem znajdującym się w uszkodzonéj bramie, iż z początku żyła uzbieraną jałmużną, a następnych dni, żywnością którą tam zostawili nieznajomi biesiadnicy. Zdaje się, iż nie znała ich wcale, a opis ich ubrania różnego zupełnie od wszelkich teraźniejszych ubiorów, tak był dalekim od podobieństwa do prawdy, iż bez wahania się przypisano go przypomnieniu snu, które mięszało się z rzeczywistością. To była rzecz oczywista, że jeden z tych awanturników, czyli spiskowych, uczynił na niéj mocne wrażenie, iż tylko

nadzieja znalezienia go, utrzymywała ją przy życiu. Lecz zrozumiała że go ścigają, iż zagrożona jest jego wolność a może i życie, i nie można było wymódz na niéj, ażeby powiedziała jego nazwisko.

To miejsce opowiadania Pabla, przypomniało mi przyjaciela, który zginął w moich oczach. Wzdęła się pierś moja, oczy zalały się łzami i szybko zasłoniłem je ręką, chcąc ukryć wzruszenie moje. Pablo zatrzymał się podobnie jak za pierwszym razem i z jeszcze większą uwagą wpatrywał się we mnie. Łatwo odgadnąłem co myśli, i usiłowałem uspokoić go uśmiechem.

—»Nie trwoż się przyjacielu, rzekłem, temi przemianami rozrzewnienia i wesołości, które wzbudza we mnie twoja osobliwa historya. Są one bardzo naturalne w mojém położeniu, zgodzisz się na to gdy będę mógł je wytłómaczyć: Mów daléj i przebacz mi, żem

ci przerwał, gdyż nie skończyły się jeszcze przygody Pedriny.

—»Już nie wiele brakuje do końca, rzekł Pablo. Odprowadzono ją do klasztoru i oddano pod ściślejszy dozór. Stary doktór bardzo biegły w traktowaniu chorób umysłu, zajął się jéj zdrowiem. Postrzegł z razu iż będzie bardzo trudno, gdyż obłąkanie umysłu, najcięższe i prawie nieuleczone jest wtedy, gdy wynika z głębokich cierpień duszy. Nie zrażał się jednak, liczył bowiem na pomocnika któren zawsze przynosi ulgę boleści, na czas, który wszystko zaciera, i sam pozostaje wieczny, pośród naszych chwilowych uciech i smutków. Do jego działania przyłączył rozrywkę i naukę, przywołał na pomoc choréj sztuki o których zapomniała, lecz których wrażenie obudziło się potężniejsze jak dawniéj, w cudownéj organizacyi Inezy. Uczyć, mówi pewien filozof, jest to może przypominać sobie. Dla niéj było to samo co tworzyć. Jéj pierwsza lekcya wzbudziła podziwienie, entu-

zyazm, fanatyzm sztuki. Jej powodzenie wzrosło niezmiernie szybko; zachwycenie które wzbudziła, ją samą przejęło. Są istoty uprzywilejowane od natury. Chwała wynagradza im utratę szczęścia. Wynagrodzenie to, jest cudownym darem Opatrzności, chwała bowiem i szczęście rzadko się łączą. Nareście przyszła do zdrowia i mogła opowiedzieć swemu dobroczyńcy to co ja wam opowiadam. Lecz zdrowie byłoby dla niej nowém nieszczęściem, gdyby zarazem nie odzyskała możności użycia swego talentu. Wyobrażacie sobie, że jéj z różnych stron czyniono korzystne propozycyę. Różne miasta chciały ją nam wydrzéć, gdy Baskara nakłonił ją nareście, iż weszła do towarzystwa ich aktorów.

—»Do towarzystwa Baskary! zawołałem śmiejąc się. Bądźcie pewni iż wie teraz co to byli za jedni ci straszliwi spiskowi w zamku Dżysmonda.

—»A ty zaś nam to wyjawisz; od-

powiedział Pablo, gdyż jak widać znasz te wszystkie tajemnice. Mów więc, proszę cię.

—»Nie uczyni tego: rzekła Estella z niejaką urazą. Jest to tajemnica, któréj dla nikogo przełamać nie może.

—»Tak było przed chwilą, odpowiedziałem; lecz ta chwila wielką zrządziła zmianę w moim postanowieniu. Wolny jestem od mojéj przysięgi. Wówczas opowiedziałem to wszystko, co wam moi panowie wiadomo jest z pierwszéj części mojéj powieści.

ZŁOTÓWKA

POWIASTKA

DLA

MŁODOCIANEGO WIEKU.

ZŁOTÓWKA

I.

Bruk był ślizki, ściany domów mokre, z rynien i dachów woda kapała, a przecież słońce jasne świeciło nad Warszawą; bo działo się to w końcu Marca, a już pewno po raz dwudziesty zmieniała się w tym dniu pogoda.

Młody jakiś panicz w sutéj czamarce, stojąc oparty o filar na Miodowéj ulicy, przypatrywał się wystawionym rycinom i litografiom, a prawie naprzeciwko, przy bramie dawnego pałacu biskupów krakowskich, chłopiec blady i wynędzniały, ubogo odziany, wyciągał jednę rękę do przechodzących, prosząc o jałmużnę, a drugą jakby ze

wstydu, twarz sobie zasłaniał. Wtém, przeszły koło bramy dwie kobiéty; jedna miała piękny płaszcz szkocki, kapelusz axamitny czarny z kwefem i widać było, że ładna i młoda; druga w czarnéj salopie, na uczciwą pannę służącą wyglądała.

—»Moja jedyna, pożycz mi pieniędzy: powiedziała panienka do służącéj, obaczywszy biédnego chłopca; nic nie mam przy sobie.

—»I ja mam tylko złotówkę, a panna wié, że musimy wsiąśdź w piérwszą dorożkę i jechać na Elektoralną ulicę do owéj pani.

—»Moja droga, już pójdę piechotą, a dajmy temu chłopcu; patrz jaki biédny!

—»I tak będziemy jeszcze miały kawał z Elektoralnéj ulicy na koniec Leszna, i zabawimy się długo; pani będzie niespokojna.

—»Już proszę cię, nic nie mów, a daj«— I złotówka dostała się w dłoń

schudzoną biédnego chłopca. Młody panicz jakimsiś trafem zwrócił był oczy swoje ze sklepów na stronę przeciwną, i widział z daleka całą tę scenę, lubo słów i głosu nie słyszał. Zajęła go dobroczynna panienka, ile że nóżka ładnie obuta, ubiór staranny, mile także przemawiały; przejśdź chciał na drugą stronę, ażeby przypatrzyć jéj się lepiéj, lecz właśnie kilka zebrało się powozów, i nim się rozjechały, już ani panienki ani jéj służącéj nie było, i choć młodzieniec wybiegł na Senatorską ulicę, dopatrzyć jéj nie mógł.

Cokolwiek zły a przynajmniéj nie kontent, zbliżył się do biédnego chłopca, który jeszcze trzymał w ręku złotówkę, wziął mu ją, i dał na to miejsce dukata w złocie.

Spostrzegłszy tę zmianę, chłopiec krzyknął radośnie: »Boże! Boże! jakaż Opatrzność Twoja; właśnie dwudziestu złotych nam trzeba do opłacenia półroczněj stancyi. Już nas miał

»dziś gospodarz wyrzucić na ulicę, bo »już drugi kwartał nam czeka. Mój »chory ojciec byłby pewnie zamarł. Ja»śnie wielmożny pan życie ojcu wraca.«

A to mówiąc, tak był wzruszony, że aż o ścianę oprzéć się musiał.

—»Czémże jest twój ojciec? moje dziecko, i dla czego tak biédni jesteście?

—»Mój ojciec był woziwodą: jeszcze w jesieni, w czasie piérwszych mrozów schodząc do Wisły, upadł, i coś mu w krzyżu pękło. Od tego czasu nie wstał z łóżka; wóz i konik poszły do ludzi. Jam jeden przy nim. Dotąd łataliśmy biédę jako tako; usłużywszy ojcu robiłem sąsiadom, com mógł: nosiłem piasek, wodę, i przecież głoduśmy nie marli; ale na komorne nie można było nic uzbierać — ojciec już mnie dawno wyprawia w służbę, ale któż mnie weźmie bez butów, bez koszuli? a takąbym miał ochotę iść w słu-

żbę i zarobić co dla ojca. Żebrać nawet nie umiem i wstydzę się.

Tu płakać zaczął.

—»Gdyby twój ojciec na to przystał, wziąłbym cię do siebie; właśnie potrzebuję chłopca, któryby za mną jeździł konno i za powozem. Ale będzieszże wierny i posłuszny?

—»O będę! byleby tylko ojcu co z tego przyszło.

—»Zaprowadźże mnie do ojca.

I poszli obadwa na Bednarską ulicę, gdzie w podwórzu w domu jednego stolarza, mieszkał, a raczej leżał woziwoda kaléka. Chętnie zezwolił na to, żeby Tomek syn jego poszedł w służbę do panicza, ucieszył się nawet tém mocno z razu, i dziękował mu błogosławiąc; ale wnet zamyślił się i powiedział: —»Cóż ja tu stary i kaléka bez niego pocznę!

—»Gdybyś chciał, rzekł na to panicz, wkupiłbym cię do szpitala Ś. Kazimierza: tam chorym bardzo jest dobrze.

— »Nie koniecznieć to ludzie są za szpitalami, ale ja sam słyszałem, jakoby u Ś. Kazimierza lepiéj było, niż gdzieindziéj. Jeźli łaska pańska, tobym już tam i poszedł.

Dobry panicz zajął się natychmiast umieszczeniem ojca i oporządzeniem syna; nie wyszło trzech dni, stary woziwoda leżał w wygodném i czystém łóżku, i obiecywali mu doktorowie i siostry miłosierdzia, że będzie jeszcze mógł chodzić o swojéj mocy; a Tomek w pięknym surducie piaskowym, w butach, z wyłogami i w kapeluszu okrągłym z czarną kokardą, patrzył tylko w oczy swemu panu, w czémby mu usłużyć i przypodobać się; i słuchał napomnień i nauk zasłużonego lokaja jego.

W parę tygodni jednego wieczora, kiedy zasłużony lokaj trochę był słaby, i Tomek sam pana rozbierał, zapytał się panicz, czy kontent ze swojéj służby?

—»Ale jak! wypowiedzieć nie umiem. Wczora, jak pan wie, byłem u ojca, i on zdrowszy daleko; siostry takie dobre, tak go pilnują; kazał panu nogi uściskać i błogosławił go stokrotnie.

—»A tobie na niczém nie zbywa?

—»Na niczém, panie, mam wszystkiego do sytości. Już tylko przed śmiercią jednéjbym pragnął rzeczy?

—»Czegóż takiego?

—»Oto, żebym jeszcze kiedy obaczył tę dobrą panienkę, co mi tę złotówkę dała. Ona mojego saczęścia przyczyną, bo gdyby nie ona, pan by mnie był nie obaczył. Pan ją zna zapewne? Przepraszam za śmiałość moją, że o to pytać się ważę.

—»Nie znam wcale i nie poznałbym jéj nawet, choćbym zobaczył.

—»O! ja bym ją poznał i z twarzy i z głosu; tak mile do téj statecznéj pani mówiła! Muszę dać z zasług moich na mszę do Pana Jezusa, to może ją gdzie spotkamy?

Pochwalił tę intencyą panicz, i mimowolnie złożył także życzenie, aby wysłuchaną została. Ale nie zanosiło się na to, ile że wnet zabrawszy Tomka, opuścił Warszawę i pojechał do wioski swojéj w Krakowskie.

II.

Dobra panienka ze swoją panną służącą właśnie wychodziła z Orléj ulicy na Leszno, i śpieszyła się bardzo, kiedy zawróciła w tęż stronę pędem jadąca kareta, czterma końmi pocztowemi zaprzężona; tak nagle: że ledwie umknąć się z drogi potrafiły.— Przelęknione i zmęczone doszły nareście do domu, i zaraz na wstępie usłyszały wymówki matki:

—»Jak też można było tak długo się bawić! Od godziny wrócić należało.— A tak byłaś tu potrzebna Amelko!.... Kto wié, dodała prowadząc córkę do swego gabinetu: kto wié, może tém

spóźnieniem, szczęście całego życia straciłaś.

—»O mamo! nie zdaje mi się: bo żeby mama wiedziała dla czegom się spóźniła. I opowiedziała matce przygodę z biédnym chłopcem.

—»Wszystko to pięknie i dobrze: odpowiedziała matka: ale tymczasem, twój kuzyn Gustaw był u nas.

—»Gustaw z Wiednia! A czy to nie on pędził dopiéro pocztą? Zkądże się tu wziął?

—»Nie ma pięciu minut, jak pojechał daléj; wysłany kuryerem do Petersburga, godziny w Warszawie nie bawił; i bardzo grzecznie z jego strony, że mimo tego o ciotce nie zapomniał. Dopytywał się mocno o ciebie; odżałować nie mogę, że cię nie zastał. Wiesz dobrze, iż w nim cała moja nadzieja twego przyszłego losu. A prawie cię nie zna! O nieszczęśliwe spóźnienie!!

—»Zobaczy mama, że nie wyjdzie mi na złe. Mam takie przeczucie.

—Daj Boże! jednak wolałabym, gdyby cię był widział. Tak ci ładnie w tym kapeluszu, z tym rumieńcem. I zamyśliła się matka. Wdową będąc po wysokim urzędniku, dziś prawie uboga, troski swoje nad przyszłością jedynéj córki, koiła myślą dawno ułożonego małżeństwa, z synem siostry swojéj, z owym Gustawem, który znaczny posiadał majątek, i postępował wielkim krokiem na drodze łask i urzędów. — Amelii nie uśmiechały się tyle te widoki, a raczéj mało niemi zajęta była. Gustaw nie chował się w kraju, piętnaście lat był od niéj starszy, widziała go dzieckiem będąc, i nic w tém dziwnego, że jéj zupełnie był obojętny.

III.

Trzy miesiące po tém, matka Amelii siedziała znowu w swoim gabinecie; już teraz nietylko zamyślona ale zapłakana była. List otwarty leżał przed

nią. Wbiegła na to Amelia i strwożyła się mocno, obaczywszy łzy matki.

—»Mamo! cóż takiego się stało? czy wiedzieć mogę?

—»Nietylko możesz, ale trzeba, żebyś wiedziała. Oto list Gustawa; żeni się, ale nie z tobą; majątek i piękność jakiéjś Angielki go ujęły; pisze do mnie z prośbą, żebym go uwolniła od danego niegdyś słowa; i bardzo na to nastaje: iż kuzynka żalu do niego miéć nie może, kiedy nie miał szczęścia widzenia jéj od lat siedmiu i nie zna ją tylko dzieckiem. Widzisz, moje przeczucie było lepsze od twego; nie wyszło ci na dobre owo spóźnienie.

—»Kto to jeszcze może wiedzieć, moja kochana mamo? Ale trzeba odpisać jak najprędzéj Gustawowi: niech mu mama dobrze powie, że najmniejszego do niego żalu nie mam. Szkoda tylko, że mama płacze.

—»Jak płakać nie mam, moje dziécię; widzę cię pozbawioną losu, a z taką pewnością na to liczyłam.

—»Widać że już mamie zawadzam, kiedy chce się mnie pozbyć tak prędko i koniecznie. Moja mamo, cóż nam tak bardzo złego, przecież biédy nie znamy, a jesteśmy razem? Cóby mi mi tam było po tych bogactwach i honorach, gdyby dla nich trzeba było mamę porzucić? Dopiéro mam lat siedmnaście, jeszcze poczekać mogę.

A takiemi i podobnemi słowy ukoiła wnet Amelka żal matki; sama zaś swobodniejsza niż kiedy, namówiła ją aby pójść wieczorem na most, użyć przechadzki.

IV.

Była to wigilia Ś. Jana. Sławiański i odwieczny zachowując zwyczaj, mieszkańcy Warszawy cisnęli się na most. Mała cząstka biegła badać przyszłości i rzucać wianki, ale szli jedni

dla tego żeby przypatrywać się drugim, szli drudzy żeby bydź widzianemi, inni jeszcze, jak Amelia z matką, szli ażeby rozerwać się i odetchnąć świéżém powietrzem, po dniu bardzo gorącym, Swiętojańskie interessa zwabiły i z dalekich okolic osób nie mało; a między powozami stojącemi z obu stron koło mostu, był lekki koczyk podróżny, z którego był wysiadł dopiéro co młody panicz w czamarce. Chłopiec porządnie ubrany słuchał właśnie jego rozkazów względem powozu i koni, kiedy obiły się o jego uszy te słowa: »Ostróżnie mamo!« a wnet chwytając pana swego za rękę, szepnął mu do ucha: »To jéj głos, to ona,«— Młodzieniec obejrzał się, nie dokończył już rozkazów swoich, i przez cały czas rzucania wianków, chodził nieznacznie za dobrą panienką i za jéj matką. Spotkawszy na moście kilku znajomych, dowiedział się wnet, kto była; same pochwały jéj słysząc, widząc starania ko-

ło matki, ubiór schludny i gustowny, ułożenie skromne, wnet zapragnął wprowadzonym bydź do ich domu; a po kilku miesiącach bywania, uzyskawszy wzajemność młodéj Amelii, oświadczył się o jéj rękę. — Wprawdzie nie był on ani w jednéj części tak bogaty, jak Gustaw; miał tylko jednę wieś w Krakowskiém, i żadnéj nadziei urzędów ani godności. Przecież matka Amelii poznawszy jego charakter i sposób myślenia, powierzyła mu z chęcią szczęście córki.

W dzień ślubu, który w dzień Trzech Króli miał się odbydź, kiedy Amelia skończywszy ubranie weszła do pokoju bawialnego, gdzie tylko najbiższi krewni się znajdowali, jedna z poważnych matron zapytała się misternie: »A pieniądz ślubny czy jest?«

—»Ach! zapomniałam, odpowiedziała matka.

—»To ja się o niego postaram! zawołał pan młody, i to mówiąc wy-

biegł z pokoju. — Wnet wrócił prowadząc chłopca bardzo licho ubranego, który wyciągał rękę, i w niej była *złotówka*. Stanęli oba przed zdziwioną Amelią, a wdzięczny Tomek powiedział: »Niech to będzie wasz pie»niądz ślubny, lepszy on jest od du»kata, bo szczęście wam przyniesie.« — Widząc to rumiana Amelia, domyśliła się wszystkiego i rzuciła się matce na szyję mówiąc: »A co, czy nie wyszło »mi na dobre owo spóźnienie.«

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

biegł z pokoju. — [illegible] wziął pro-
wadząc chłopca, bardzo ładnie ubranego,
który wyciągnął rękę [illegible] w niej była
[illegible] Stangi-ako przed [illegible] dziwio-
na Antek [illegible] wdzięczny [illegible] po-
[illegible] wiele [illegible] pie-
niądz [illegible]
[illegible] szczęście mam [illegible]
[illegible] Antek [illegible]
się wszystkiego [illegible]
[illegible] mówiąc [illegible]
mu na dobre owo spotkanie.

KONIEC TOMU [illegible]

SPIS PRZEDMIOTÓW